

SZTUKA I NARÓD

Nº 9-10

Cena 5 zł

lipiec-sierpień 1943

Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej

C.K. Norwid

Zginął w imię kultury polskiej od kuli wroga drugi redaktor Sztuki i Narodu, nasz Kolega i Przyjaciół, autor nowel, liryków prozą i artykułów publicystycznych¹.

Nie nad zagadką śmierci, nad zagadką życia myśleć należy. Istnieją żywoty, w których nie ma żadnej tajemnicy. Istotą nieprzeciętności jest wychylenie się w tajemnicę, w nieznanne – i jeszcze jedno: wzięcie we własne sumienie pełnej za wszystko odpowiedzialności.

Niezwykłością życia jest jego energia, jego pęd ku nieznanemu, poszukiwanie wypadku.

Ta jedna sprawa łączy życie artysty i życie bohatera. Artysta sam przez się nie jest bohaterem choćby to był wielki artysta. Potrzeba jeszcze czegoś, jakiegoś szukania sprawdzianu, jakiejś chęci dorównania, zwycięstwa, poczucia przewagi nad żywiołem.

Rzadko zdarzają się ludzie, którzy by tak całkowicie w sobie mieli zagadkę śmierci jak Ty. Wszystko co miałeś dookoła siebie nie wystarczało Ci. Szukałeś ciągle znaków swej przewagi, znaku, że

jesteś nie gorszy niezwykajny, niepodległy. Czyn jako chęć świadectwa o sobie, niepokój, że bez czynu człowiek jest niedostateczny.

Z Twojej wyprawy po próbę, z Twego szukania Graala, nie wróciłeś. Myślę, że krzywdę wyrządziłby Ci ten, kto by chciał sprawdzać, czy Twój Graal naprawdę był Graalem. Istota problemu sprowadziła się do Twego niepokoju. Zapłaciłeś za ten niepokój najwyższą cenę. W oczach postronnych i niepotrzebną.

Ale nie w Twoich oczach. Ty to czułeś, Ty szukałeś po omacku śmierci – sam.

Jedno było i jest tragiczne: że nie udało się Ciebie powstrzymać na tej krawędzi, zatrzymać. Usłyszałeś huk przepaści silniejszej niż głos wewnętrznej przestrogi.

Takie życia jak dramat.

WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU

Istnieją podobno przyjaźnie rosnące dziesiątkami lat, rozgałęziające się, kwitnące i owocujące, przyjaźnie, w których cieniu siwieje się powoli i których cień coraz głębszy godzi nas w końcu z myślą o cienistych głębiach śmierci. Wtedy śmierć przyjaciela gasi nam co najwyżej blask oczu do końca, ale niczego za to nie jątrzy i nie otwiera niepokoju. Jest tym ostatnim ogniwem łańcucha zamykającego się w koło.

Pamięć o przyjacielu krąży wtedy w zamkniętym okręgu przeszłości, w okręgu zamkniętym bezpiecznie w całość, pełnym harmonii. Och, być może – wspomnienia wtedy, choćby najbardziej smutne, choćby gorzkie jak wrześniowa jarzębina i ciemne jak woda pod niebem bezgwiezdnym, wspomnienia mogą wtedy przynosić uspokojenie i wielką nawet ciszę.

Ale przyjaźń nasza miała tylko trzy lata, niecałe nawet i kiedy myślę o Tobie, nie mogę się w ogóle zwracać w przeszłość. Zawsze widzieliśmy siebie i chcieliśmy się oglądać jedynie na tajemniczym tle historii, która dopiero czeka – utajona i wielka. Tam muszę patrzeć dzisiaj. Ale to sięganie wspomnieniem wspólnej przeszłości nie daje ukojenia. Niepokoi i boli. Twój cień, cień, jaki rzuca na tło przyszłości żywy, młody człowiek oczekujący historii – znikł nagle.

Kim mogłeś być?

Nie wiem. Boję się z góry określać to wszystko na podstawie migającego płomienia konturu Twego Cienia. Nie wiem. Naprawdę. Ale wiem, że gotując się do szturm na życie, powtarzając owo urzekające „bagnet na broń” wobec wojennej rzeczywistości, ufaliśmy, iż w chwili śmiertelnego skrzyżowania „białej broni” krzyk bojowy jednego

z nas wspomóż, ożywi, wskrzesi nawet – drugiego.

Nie. Nie wspomóż, nie ożywi, nie wskrzesi. Czekaj mnie walka w milczeniu. Nie ma do kogo wołać wojennego hasła. Wszystko ma się zawrzeć w prostym milczeniu szczęk zaciśniętych. Cała siła, wiara i ból...

Powiniennem – być może – złożyć Ci w takim momencie jakieś intymne przyrzeczenie, jakąś raz na całe życie obietnicę.

Nie rzucam ani jednego słowa przyrzeczenia, Drogi. Trudno nawet wyjaśnić, dlaczego. Oczywiście, prościej byłoby dać ujście podnieceniu i przyrzec. Wierność wspólnej linii naszego frontu. Uchronienie od zagłady tych trzech lat korzenistej, podziemnej, ugornej epoki naszych żyć. Przyrzec wszystko, co przez czaszkę przeleci...

Ale nie czuję, abym miał prawo przyrzekać jeszcze cokolwiek. To zapadłe milcząco już na samym wstępie naszej przyjaźni. Wcześniej jeszcze. Na samym wstępie znajomości dwa i pół roku temu.

...Kiedy był ciepły, słoneczny dzień właśnie. Kiedy szedłeś rozpięty, z rękoma po swojemu do tyłu, w brązowym, twardym kapeluszu... Byliśmy „per pan” jeszcze. Zacząłeś:

– czy nie uważa pan, że liryka... jako rodzaj literacki... jest dziwnie niepełna? Tak. Nie wystarczy mi. Chociaż nie piszę właściwie nic innego. Czy pan także pisze głównie liryki?

– tak. Głównie liryki... Ale zerwanie z liryką będzie czymś więcej niż naszym indywidualnym buntem czy odejściem... Musi stać się...

W ten ciepły, słoneczny dzień właśnie, dwa

i pół roku temu zapadło niewypowiedziane, ale szczerze i rewolucyjne przyrzeczenie. To wystarcza dziś...

Historie naszych wieczorów autorskich – kiedy myślę o tym teraz – były ładnymi w gruncie rzeczy historiami. A narodziny SiNu, wyłaniające się spomiędzy ciemnych zatok niepamięci, zawsze przywodzą na myśl coś bardzo biblijnego. Narodziny, które miały wiele zwiastowań w każdym razie. I które miały swoją bardzo białą, śmiertelną najwidoczniej, gwiazdę: gwiazdę śmierci pierwszego Redaktora² i Twoją – Drogi.

Nie miałeś i ja nie miałem nigdy zwyczaju zawracać wstecz i wspominać tych historii, nawet ich najładniejszych fragmentów. Mieliliśmy mało czasu. I jeżeli już wspominaliśmy cokolwiek, to nasze projekty na przyszłość, perspektywy rozpinające się przed nami, nie za nami, rzeczy do zdobycia dopiero.

A jednak, jeśli chce się zarysować tu chociaż sylwetę Twoją, nie sposób zrezygnować wtedy z tych trzech lat wspólnej przeszłości i przede wszystkim z tych „historii” wieczorów autorskich i narodzin SiNu.

Był, zdaje się, listopad: długie noce, bardzo zimno już. Pisywaliśmy po cudzych mieszkaniach albo we własnych kuchniach. „To heroizm jednak – mówić – zachować samotność twórczą nie tylko wobec ludzi, ale nawet wobec gotującej się zupy...” – „Pomidorowej, w dodatku” – zrobiłem aluzję do tego gastronomicznego motywu z pisanej wtedy przez Niego noweli „Biegiem w głąb życia” – „No, cóż – przytaknął – niech już będzie pomidorowa.”

Pokoje były lodowate. Zebrania odbywały się w paltach, z nastawionymi kołnierzami i w rękawiczkach. Biliśmy od czasu do czasu hołubce, biegaliśmy naokoło stołu, gimnastykowaliśmy się

na krzesłach... Trzeba było mieć dużo skupienia i powagi, aby nie zmienić wszystkiego w kabaret.

Na tym tle czytanie Jego pierwszej noweli „O barze pod lampionami” i pierwsze, w przypadkowo jeszcze zebranim zespole, zebranie dyskusyjne. Nowela wypadła dobrze, start udał się. „Boję się – powiedział autor – że poprzez te hołubce i gimnastykę nie dosłyszycie wszystkiego. A to trwa czterdzieści minut w każdym razie.” Byliśmy uderzeni dwoma zjawiskami, nowymi dla nas jeszcze: ten człowiek znał ilość czasu potrzebną na czytanie i potrafił czytać bez najmniejszego pośpiechu...

Natomiast koło dyskusyjne było bardzo jeszcze niedobre. Pierwsze zebranie zakończyło się brutalną opozycją, rozłamem i demonstracjami. „Przyszedłem tu tak, jak przychodzi się na plażę: dla przyjemności – wyjaśniał jeden ze złośliwszych opozycjonistów – tymczasem zupełnie nie znajduję tu...” – „A tak, ma pan rację – zupełny brak słońca, fiasko jednym słowem” – odpowiedział sztywno inicjator. Ktoś na rozgrzewkę okładał się po dorożkarzku pięściami. Demonstranci wyszli.

Pauza tygodnia. Nowi ludzie. Jednocześnie nowa Jego artystyczna pasja: napisanie jakiejś irracjonalistycznej opery. „To nie może być dramat. Muzyka jest tu konieczna: pogłębi całą dziwność tego...”

Muzyk: człowiek o pałeczce dyrygenta, zbierający portrety różnych Bachów i Beethovenów, kompozytor utworów fortepianowych, nie umiejący grać na fortepianie. To on miał stworzyć muzykę tej opery. Na razie pisał jakiś kwartet bodaj. Z opery nic nie wynikło. Ale z samego muzyka – owszem: przede wszystkim głęboka nasza przyjaźń, następnie jego kierownictwo nami, a później jeszcze... najpiękniejsza Jego nowela-groteska „Pożegnanie mistrza”, gdzie motyw literacki muzyki Jana

Sebastiana Bacha i jego fugi, i dwunastu dyrygentów z podniesionymi do góry pałeczkami – najlepiej świadczy o wpływie, jaki miał na nas nasz kierownik-muzyk³.

Pierwszy wieczór zbiorowy na zewnątrz. Niesłychanie dużo ludzi, tłok prawie. W sąsiednim pokoju nasz kolega malarz⁴ wykańcza nerwowo esej „O malarstwie narodowym”. Nowela „Biegiem w głąb życia” podbija publiczność. Artykuł pt. „O postawę człowieka tworzącego” wywiera wpływ wręcz nieoczekiwany: ktoś zaczyna cicho płakać.

Następnego dnia późnym wieczorem, po ciemku, ostatnia odprawa redakcyjna: „Ustalamy ostatecznie menu pierwszego numeru Sztuki i Narodu – mówi z radosną oficjalnością – na początek mój artykuł o tej postawie człowieka tworzącego...” – i nagle nie wytrzymuje, przypominając sobie wczorajszy wieczór i pyta: „Dlaczego ona, u diabła, płakała wtedy?”

W dziesięć dni później, podczas przypadkowego pozornie spotkania w sposób równie przypadkowy rzuca mi swoje łobuzerskie pytanie: „Czy czytał pan już ostatni numer znanego warszawskiego wydawnictwa kulturalnego Sztuka i Naród?”

Tak brzmiał pierwszy komunikat o wyjściu pierwszego numeru tak zwanego później SiNu.

Inna zupełnie epoka, sprzed roku już, epoka pisania żołnierskich piosenek dla przygotowujących się grup Uderzenia. Lato całe i jesień nasycone melodiami, nie powtarzające się dni wypełnione wciąż powracającymi refrenami. To był dziwny okres.

„Muszę ci pokazać swoją najnowszą piosenkę – powiedział mi przed samym swoim wyjazdem na kurację do Zakopanego – taka trochę żartobliwa. O Natalii.⁵”

Ale to nie było jeszcze nic skończonego.

Zaledwie parę fragmentów tekstu. Wyjechał do Zakopanego razem z zaczętą piosenką. Pisał nam stamtąd pyszne, kpiarskie listy. Burzył się w nich i pienił żywiołowy śmiech z wszystkich konwencjonalizmów folkloru. Bił z nich mocny, coraz głębszy oddech zdrowiejących płuc.

Spadła do Warszawy nieoczekiwanie, prawie cudownie. Opalony, w rozpiętej koszuli, z włosami pełnymi jakby lekkości, uśmiechnięty... Przywiózł ze sobą stamtąd cztery rzeczy... „Cztery rzeczy, powtarzam ...No, jakie? Widzisz, nic nie wiesz... A więc słuchaj, daragoj⁶... Po pierwsze – bycze zdrowie. Po drugie – początek powieści. Po trzecie – nowy swój portret robiony ołówkiem przez p. X. A po czwarte – po czwarte musisz posłuchać...”

Była to piosenka o Natalii. Zaczął ją śpiewać i urwał. „Zapomniałem już jak tam dalej...” – powiedział z celową nonszalancją. „No jak to – zapytałem go niedowierzająco – a melodia? Kto napisał melodię?” – „Cóż, daragoj – roześmiał się kpiarsko. – zdarzają się nieraz ludzie genialnie wszechstronni, ludzie o pokroju Leonardów, Buonarottich czy jak tam... Naturalnie, umysły płaskie i powierzchowne przypuszczają, że takie rzeczy i tacy ludzie mogli się zdarzać kiedyś tam dawno, a tymczasem... tymczasem dziś, jak sam masz możliwość oglądać” – Urwał. „Dość – powiedziałem – więc to ty sam? Co?” Roześmiał się lekko, beztrąsko. „Ja – powiedział – Wagner współczesności.”

Zapadał wieczór. Wieźliśmy riksą jakiś transport bibuły. Asfalt i płonące wysoko pod sklepieniem nieba latarnie. Opowiadał o Zakopanem. Nagle przypomniał sobie. „Jest – krzyknął – mogę ci ją zaśpiewać w całości.” Chodziło naturalnie o „Natalię”. Śpiewał półgłosem. Asfalt i latarnie wysoko pod niebem. I bibuła, nie wiadomo po co w tym wszystkim...

„...O Natalio, o Natalio, o Natalio,
Pachniesz wiatrem, leśnym szumem i konwalią...”

Taki był refren piosenki. Dziś pomaszerował już razem z żołnierzami Uderzenia za Bug i tam, za Bugiem, rozlega się po puszczech i lasach. Szkoda, że nie doczekałeś tego, Drogi mój.

Coraz bliżej teraźniejszości. Wspomnienia mnożą się i coraz trudniej jej wybierać. Są ze sobą powiązane nierozdzielnie, stanowią jakiś jeden potok...

Życie artystyczne, publicystyczne, polityczne, żołnierskie, życie wreszcie bezdomne okresami, konspiracyjne.

Konspiracyjność była w tym wszystkim czymś samodzielnym, osobnym, wyodrębnionym, potrafiliśmy jej poświęcać długie opowiadania i analizy. Fascynowały nas te kapitalne sytuacje, zawile rytuały, tajemniczy ludzie. Było w tym zawsze coś z przedwojennych grotesek Schulza czy Gombrowicza.

Spotykaliśmy się co wieczór pod kolumną Zygmunta, siadaliśmy wygodnie na postumencie i ostygaliśmy powoli z roznamiętnienia przeżytym dniem, aby zapalić się z kolei do tych opowiadań: irrealnych, dziejących się w innym wymiarze na pozór, a jednocześnie tak niesłychanie zaplątanych we wszystkie gałęzie życia.

„To trzeba koniecznie napisać – powtarzał bezustannie – choćby jako cykl grotesek. Albo jako powieść.”

Ja osobiście myślę o balecie – powtarzałem w odpowiedzi – dopiero milczący balet uwypuklił ten główny dogmat konspiracji, że wszystko dzieje się w ciszy.”

Każdy z nas miał swoje konspiracyjne osiągnięcia. Swoje specjalności.

Kiedyś na przykład zaprowadził mnie do jednego ze swoich mieszkań. „Patrz – powiedział

zataczając się od śmiechu – to ma udawać wobec gospodarzy wielką firmę narzędzi rolniczych. To ma być tym «alibi» dla przychodzących tu naszych konspiratorów. Spójrz tylko...” Rzeczywiście, to nie było pozbawione wyższej brawury. Na środku pokoju stał maleńki stolik, na którym leżało parę żelaznych drobiazgów. „Czy to cały już inwentarz znakomitej twojej firmy?” – „Tak – odparł – niestety, cały.” Przyglądałem się „firmie” z podziwem. „A najgorsze – powiedział nagle – że żaden z nas nie ma zielonego pojęcia jak się te żelazne draństwa nazywają...” – „Jak to, nie wiesz tego?” Nie wiedziałem oczywiście także. „Bo co? – zapytałem. „Bo gospodarze chcą od nas to kupić” – powiedział z lekką melancholią.

Kim mogłeś być? – Powiedziałem już, tego nie wiem, milczę o tym: przez szacunek dla intymności naszych wizji. Kim byłeś, wobec tego?

Och, nie zakuwam Cię w patos, nie zamieniam Cię ani trochę w bezruch. Przeciwnie: unikałem w tym przyjacielskim wspomnieniu wszystkiego, co mogłoby mieć choćby pozór nekrologu. Chciałem Cię ukazać przede wszystkim kimś żywym, kimś napadniętym przez śmierć w momencie intensywnej, wielostronnej twórczości. Chciałem w ten prosty sposób właśnie odmalować całą groźbę Twojej śmierci, śmierci prawdziwie żywego człowieka. To powinno mnie rozgrzeszyć, mam wrażenie...

Kim byłeś?

Autorem mocnych, pięknych liryków prozą, autorem sześciu wykończonych i dojrzałych jak owoce opowiadań, żywiołowym człowiekiem teatru, aktorem, reżyserem, dramaturgiem, znawcą i miłośnikiem Norwida (a obok tego Gałczyńskiego), drugim redaktorem SiNu i publicystą z ogniem fanatyzmu, twórcą i wykonawcą znanych już dzisiaj piosenek

Uderzenia, politykiem i żołnierzem, konspiratorem i kpiarzem. Kim byłeś, Drogi? Twórcą najbujniejszego, jakie znam, życia. Nie ma w tym nic przesady. W tym życiu, nie w śmierci ostatecznie, tkwi chyba to coś, co nazywamy nieraz heroizmem. Jeszcze wtedy, kiedy panującą ideologią była ideologia „przeczekiwania”, Ty z pasją i na każdym kroku zadawałeś swoje niepokojące pytanie: „No, a dziś?”

Rozumiałeś jak mało kto, że obok wszelkich plonów, wyników i osiągnięć istnieje moment samej pracy człowieka i jej etycznej wartości. To przede wszystkim miałeś na myśli, mówiąc mi kiedyś w zimie: „Myślę, że bohaterstwo polega nie na tym, iż nie poddajemy się przemocy w pewnych, zwłaszcza w efektownych momentach, ale na tym, iż się nie poddajemy w żadnym wypadku, nigdy. Kiedy mając cały dzień zabity pracą, mając odmrożone ręce i uszy i jadąc zapchanym wariacko tramwajem – wyjmując się naraz z kieszeni jakiś tom Szekspira, Kochanowskiego czy Tomasza z Akwinu i zapada się w piętnastominutową lekturę, to mam wrażenie, że to jest istotą prawdziwego, dzisiejszego bohaterstwa...”

Miałeś w sobie zresztą oba nurty bohaterstwa: i tego zdobywczego wobec życia, i tego drugiego – wyzywającego śmierć...

Twój stosunek do śmierci był zawsze intymny i oryginalny. Afirmowałeś życie, ale dojrzałe i po męsku. Znałeś całą jego gorycz, dziwność i trudność. Wierzyłeś w życie nie dlatego, że się do niego przyzwyczaiłeś i że widziałeś w nim coś niezmiernie oczywistego, ale dlatego właśnie, iż widziałeś w nim wieczyste musowanie i burzenie się – cudu. Gorzkiego, dziwnego i trudnego wprawdzie, ale właśnie cudu...

„To śmierć nasza dopiero – mówiłeś kiedyś – jest tym ostatecznym dożeglowywaniem naszym do spokojnego, pełnego ciszy brzegu zwyczajności,

dożeglowywaniem pod białymi, bardzo białymi żaglami siwych włosów...”

Być może brzmiało to nieco inaczej, nie tak lirycznie jak tutaj, ale znaczyło to samo.

Śmierć to był cały system myślenia, całe odgałęzienie Twojej myśli. „Śmierć nie jest bynajmniej zanikaniem życia – mówiłeś gdzie indziej – ona jest tylko przekazywaniem energii życiowej komuś innemu. Śmierć nasza rozpała życie w innych. Daje im świadomość, siłę i odwagę...”

Przez całą twórczość Twoją rosła i kwitła ta twórcza gałąź śmierci. Od noweli sprzed dwu lat „Biegiem w głąb życia”, poprzez tragiczny „Jeden dzień z życia Witolda Grabca”, poprzez „Hymn”, liryk prozą „Zielony pomnik” i ostatnie z opowiadań „Powrót”, aż do żołnierskiego żałobnego marsza „Pieśń ostatnia”, napisanego na parę dosłownie dni przed tamtym dniem...

Nie piszę tu nekrologu. Nie daję przeglądu twórczości artystycznej. Nie daję nawet zarysu ideologii Zmarłego... Zrobię to później albo nawet zrobią to inni. Lepiej, z zimniejszą krwią, obiektywniej. To, co napisałem tu, to tylko wspomnienie o Przyjacielu. Nic więcej. I tak niełatwo wracałem do tych rzeczy, do przeszłości naszych wspólnych trzech lat. Ale nie miałem w tym wyboru. Przyszłość nasza bowiem zredukowała się do jednego uświadomienia sobie: do myśli, że jesteśmy nadal bardzo blisko siebie, że mogę Cię każdej godziny dopaść jednym susem, jedną po prostu kulą wymierzoną mi gdzieś w tył czaszki czy między oczy.

Dlatego też nie żegnam Cię patetycznie i „na zawsze”. Tak tylko jak co dzień wieczorem, kiedy kończyliśmy pod kolumną Zygmunta czy pod kościołem św. Aleksandra nasze „cyniczne” opowiadania o „życiu”. No, tak. Tak tylko. Nic

ponadto: – czołem. Czołem, Drogi.

cieniście – wieczności...

...Czołem chłodnym sięgający, dorastający
powoli zimnej i gwiazdzistej, rozpiętej nad nami

Stanisław Łomień [Andrzej Trzebiński]

PO ŚMIERCI AUTORA „RANNY RÓŻA”

Zmarły nasz przyjaciel miał śmierć bohatera i artysty. I jako bohater i jako artysta został pożegnany. Posypały się śladem jego pamięci bielszą od najbielszych kwiatów arkusze lirycznych rękopisów. Ze wszystkich stron naraz. Było to piękne, ta spontaniczność i ta powszechność bolesnego oddźwięku. Było to niezwykle w swoim rozmiarze liryczności głosów jak na dzisiejsze warunki konspiracji.

Dwa spośród nadesłanych: liryk Topornickiego⁷ „Trójgłos” i liryk prozą Biniewicza⁸

„Na górze ognia” drukujemy poniżej.

Inne ze względu na ich intymność, dekonspirujące szczegóły treści, czy wreszcie rozmiary, pozostają w tece redakcji.

Aby związać te pojedyncze utwory w całość żałobnej twórczości, wybieramy choć w części charakteryzujące wpływ i siłę indywidualności nieżyjącego fragmenty z dłuższych liryków „Słowa najprostsze” Andrzeja Augustowskiego⁹, „Wiersze o przyjacielu” A. Oborskiego¹⁰ i wiersza Józefa Błażeja¹¹, w którym zyskaliśmy nowego kolegę.

„Nasza pieśń – niech Cię wzniesie wysoko
Nasza pieśń – niech Ci będzie cokołem.
Krew Twą zmyją wilgotne obłoki
Kiedy ranne podasz im czoło.”

„z wysiłkiem powtarzam słowa
wnikam w twą treść
wiem że kochałem heroizm
walkę trud i pieśń
dziwnością rozptywasz się odchodząc krzyk jak w kagańcu w piersi tłumie
bo życia twego – nie rozumiem
i śmierci twojej – nie rozumiem.”

„.....on chciał słońca jak złotą fanfarę zatrzymać nad ziemią – Słowiańską

Dwie jaskółki na niebo podniesionych brwi
może kiedyś nas naprawdę ustrzegą...
Wtedy róże rzucane żołnierzom nie zranią już – do krwi...
Dziś – jak boli – te spóźnione w pół drogi: K o l e g o ...”

Ponadto w tece redakcyjnej znajdują się wiersze „Było życie”, „Wspomnienie”, „Autorowi Ranny różą” i trzy liryki prozą dedykowane pamięci redaktora SINu.

TRÓJGŁOS

pamięci autora liryku „Ranny różą”

Wołanie senne:

Zapada dzień za nami, nad nami. Ciemność
w spiętrzonych drzewach. Domy niewdzięcznych owija pierścień nieba zwartego w ciszy. Łuk
światła prędkiego bije jak źródło srebrne nad ziemią;
kruszą się cenne marmury, kolumny gną
płomień na grzywie spoczął, gruzu nastrugał do nóg,
martwe rośliny i ziemia popiołem struta w tym mieście
i z dala tylko wołanie dziobów zbudzonych znad łąk.

Miłujący trwogę i glinę głowy podnoszą z poduszek.
Pęka spalona ziemia, kości potraça puste,
martwa szczelina – słuchają – woła kusząco jak uśmiech
formę dla ciała jedyną, ciepłem ze wszystkich najtrwalszym,
ono zapewni różany, bo krwią pojony pęk różg,
ciemność jak gwiazdę wygasła i pamięć śnioną bez czasu.

Więc będzie dzień, który odszedł
dla wielu dniem pożegnania. Mgły rozwieszane nad nami
nie wiedzą o nas nic zgoła; odległy księżyc i słońce
w innych obszarach kołują, zamkniętych dla nas, nieznanym.
Lecz mówić o nich jak pięknie! Gdy tutaj zachłanny piasek
strute ma ziarna, więc gorzkie – o ziemi mojej ojczyzny!
I ogień broni święcącej w oczy zmrużone nam patrzy –
daruj nam światy piękniejsze, gdy oczom zechcą się przyśnić

Wołanie ufne:

Jak mało. Jak mało: spokój w obrazach snu
i ręka zdobiąca ciało jak rzecz rzeźbiona lecz krucha.
Tu twardy dzień. Powietrze wciągamy do płuc
spasione krwią, a w kolumnach mężni w pogiętych kolczugach
usta na popiół złożywszy przyjaznych czekają ramion.
Marmur żyłami nabrzmał – to ziemi pragnącej trud

sypie zieloność, co żywa dzwoni młodziutkim listowiem.
Budzi się mleczny na szybach świt i rozdziela jak anioł
dymy krzyczące pod światło. Już słońce stanęło głodne
nad miastem w chmurach różowych, młodych i wonnych od pól.

Wołanie bolesne:

Zapada dzień bezimienny i co dzień żegnamy ślad
odchodzących – ku jakim światom?
Marzenie, tylko marzenie – bo one woda i piach,
oto najbliższa ojczyzna, oto jedyny patos.
I po cóż wasze wołania? Musi krew dymić jak znak
innym, by imię poznali i wartość polnego kwiatu.
Tak wstaje wszystko co godne życia a nie zagłady
i taka skąpa nagroda twardo rzuconym na wznak.
Za wiele, za wiele: ziemia i sprawy jej,
by pragnąć więcej i czekać światów zsyłanych sniżącym.
Ramię znużone leży gotowe zawsze jak miecz
pod głową oddane nocy.
A jeśli obraz z marzenia – to znany kształtem i wonią:
słońce wybiega na niebo młode i prężne, Polny
ptak przeleci po oczach, kłosa rtęciowe dzwonią,
ziemio mojej ojczyzny...

jak boli.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

NA GÓRZE OGNI

To ziemi czerń zawiera ogień georginii. I z niej dzwoniące na gałęziach brąz i miedź owoców. I jej głąb
wyrzuca wiatry płonące na cztery strony lasów.

Pod kwiatem, owocem i wiatrem leży ziemia chmurna i blada.

-- I tam odchodzi człowiek.

Czyż nie odkrywa się wtedy spod prochu i czarnych skib dno koloru kwiatów znadziemi i dno płomieni
ludzkich – ?

Nakładające się na siebie pokłady – kopalnie barw zagęszczonych w destylat, przejrzyste i lekkie góry.
Góry, doliny ognia... Tam korzenie zapuścić po sok, nieugaszonych gór.

Powiedz, bo wiesz, – Umarły:

-- I tam odchodzi człowiek - ?

Jakże ukryte oczom przeciętnych jest to przeznaczenie bliższe stopom niż czaszkom, choć i stopy wędrujące po górach ognia, przechodzą, mijają je obok.

To ten raj, którego obecność z latami zarysowuje ci mózg w deseń myśli...

-- o śmierci - ?

Stamtąd wychodzą kwiaty, których nikt za grzech żaden nie wygania, a które tylko są znakiem dawanym.

I nas nikt nie wygania stamtąd. Tam się wraca --

Kiedy włosy, jak pnie drzew, obielone zostaną na

starość, kiedy źrenice wypełzną niebiesko, jak popiół po życiu wypalonym --

-- Wtedy wraca się tam.

Wracają wołani nasturcją.

Bo Bóg niekoniecznie objawia się w krzaku gorejącym i nieraz po prostu w pojedynczej nasturcji, która kwitnie. I to nie świadczy źle, ta pokora...

Tam idziesz --

Lecz inaczej: bo w ogniu młodości pełnej

Człowiek.

Tam spotkamy się zakopani głęboko, wrośnięci korzeniami kości, leżący w ziemi na wznak...

A gdy gwiazdę spadającą z nieba ujrzysz, wiedz, że:

W ziemi są głębokie cmentarze nawet dla gwiazd i meteorów, które także leżą na wznak pod skrzyżowaniami przez wiatr i słońce drzewami sosen.

Tak, jak ty i jak oni: Polegli.

Tylko nikt się nie modli za nie...

Tam leżysz --

Z którego wyrastają nad ziemię ciężkie, jak żelazo i ogromne, w niebo wbite czyjąś pięścią olbrzymy --

-- Dęby.

Jerzy Biniewicz [Andrzej Trzebiński]

Z TEKI POŚMIERTNEJ

POŻEGNANIE Z MISTRZEM

Już byłem gotowy nacisnąć klamkę drzwi prowadzących do jego pokoju, gdy nagle spojrzałem na trzymany w ręku talerzyk i cofnąłem się w samą porę. Byłem pewien, że smarowałem przed chwilą trzy podłużne kromki chleba, tak najzupełniej pewien. A jednak na białym talerzyku wyszczerbionym symetrycznie w trzech miejscach, leżały te same trzy kawałki chleba – razowe i nie nasmarowane.

Co za roztargnienie! Jak mogłem sobie na to pozwolić!

Zdjąłem z półki ciemno-zielony słoik z konfiturami i zacząłem wolno, pieściwie rozprowadzać niewyraźną złoto-brązową masę na gruboziarnistej, czarnej powierzchni świeżego chleba. Pomyślałem, że oto za chwilę w tej doskonałej kompozycji zboża i jesiennych owoców zanurzą się jego zęby, zęby mistrza nonsensu. Przez chwilę myślałem o tych jego zębach niezwykłych i wspaniałych. Nie były banalnie równe, nie były monotonicznie jednobarwne – o nie. Zawierały partyturę kolorów od hebanowo połyskliwie czarnych do matowo i dojrzałe żółtych. Zdawało się, że istnieją tam w jego jamie ustnej dla samej gry kolorów, że są tylko koloraturą barw. Ale przecież nie! Były rozmieszczone z dala od siebie, luźno, a jednak potrzebnie. Rzadkie, niesymetryczne – padały jednak tam gdzie było to najkonieczniejsze. Nigdy nie mogły przekłuwać pustej przestrzeni, nie kłapały ruchem pustym i rozrzutnym, jak zęby ludzi zwykłych. Jak moje zęby – pomyślałem niemal z rozpaczą w ogromnym zawstydzeniu.

Tak, nawet zęby! I nie tylko one. Wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu postaci mistrza

było pozornie i ułudnie marne, dziwaczne, mało warte, a w istocie wspaniałe, znakomite, nieobjęte aż do granic wytrzymałości mego podziwu.

Ach, gdyby on mnie teraz widział, jak krzątałem się małostkowo, po ludzku, jak wiele poświęcałem uwagi przygotowaniu dla niego śniadania, a więc sprawie tak prostej i logicznej, pewnie nie oszczędziłyby mi swoich słów karcących i słusznych. Tymi myślami o jego zębach chciałem właśnie odkupić moją małostkowość, uwznioślić zwykłą czynność kontemplowaniem niezwykłego celu, jakiemu miała służyć.

Wreszcie niosąc w prawej ręce kubek z kawą, w lewej talerzyk z chlebem i cukrem stanąłem przy jego drzwiach i z należytym szacunkiem kopnąłem w nie dwukrotnie nogą.

Ach, czy pukanie nogą może wyrazić szacunek?

Nie zdążyłem już tego przemyśleć. Mistrz który zawsze przenikał moje intencje i pomijał wyrozumiałością niezdarne formy – zawołał i teraz łagodnie:

– Proszę!! Proszę, mój Karolku!!

Wszedłem. I jak codziennie o tej porze stanąłem nieco zażenowany. Był tu już inny świat, nie mój, świat którego nie mogłem zrozumieć. Mogłem go tylko uwielbiać.

Moja obcość sprawiała, że za każdym razem oglądałem ten pokój jakby na nowo z perspektywy intruza. Pod ścianą wielkie łóżko – biblioteka. Tak, właściwie było to zwykłe łóżko. O tym jednak że było ono zwykłe wiem tylko z zapewnień mistrza, bowiem naoczne przeniknięcie jego zwykłej, lub niezwykłej natury było niemożliwością. Łóżko to było tak dokładnie obłożone książkami, że nie wiadomo było, gdzie się one kończą, a gdzie się

zaczyna materac.

O tym swoim łożku mistrz powiedział kiedyś do mnie:

- Ach, mój dobry Karolku! Gdyby nie to, że wiem przecież wszystko, może sam w końcu zatraciłbym tę subtelną granicę rozróżnień i zacząłbym sypiać na opowieści o smutnym Don Kichocie, a wzruszałbym się historiami wyczytanymi z kunsztownych i tajemniczych fałd poduszki.

Po przeciwnej stronie stała szafa odwrócona drzwiami do ściany. Nie tylko dlatego, że była pusta. Nie, takie ustawienie nie było gestem podobne temu którym stawia się na obrusie pusty kieliszek do góry podstawkę. O, nie! Był w tym jakiś sens, czy może bezsens głębszy.

I to prawie wszystko. Jeszcze tylko na środku duży stół zarzucony kamyczkami, tytoniem fajkowym, kawałkami szkła, rysunkami robionymi palcem na warstwie kurzu - tym wszystkim, czego znaczenia nie starałem się nawet dociekać. Drzwi otwarte na balkon i fotel trzcinowy na balkonie zawsze niesyty ciąglego chybotania na trzeszczących, elipsowatych biegunach.

Ze sterty książek wyglądała ku mnie rumiana, uśmiechnięta miękko twarz mistrza. Na jego lśniącej, prawie zupełnie łysej czaszce, chwiała się przyjaźnie rzadkie, wysoko nastroszone kosmyki siwych włosów. Ukłoniłem się w milczeniu.

- Przyniosłem śniadanie - rzekłem i postawiłem na stole przyniesione z kuchni wiktuały.

Kawa stygła powoli, parując wysoko i smakowicie. W tej właśnie chwili słońce stanęło naprzeciwko okna i jakby mlasnęło złotym językiem po chlebach z konfiturami.

Mistrz uśmiechnął się jeszcze promiennie i zaczął powoli niezdarnie wyplątywać się ze sterty książek, które czepiały się jego malinowego

szlafroka niczym innym przecież, jak tylko niedoczytanymi przed chwilą wątkami. Mistrz odsuwał je od siebie łagodnie, głąskał uspokajająco, a książkę najbardziej natrętną trzymał w ręku i co chwila spoglądał na jej karty. W międzyczasie mówił:

- Dzień dobry ci, Karolku! Jadłeś już śniadanie?

Skupiłem się bez ruchu. To pytanie było tak niespodziewane! Zmarszczyłem czoło.

- Dlaczego nie odpowiadasz?

- Czy jadł... Czy ja... - zmieszalem się. - Nie pamiętam. Doprawdy nie mogę sobie przypomnieć - wykrztusiłem wreszcie.

- Jak to? - mistrz spojrzał na mnie troskliwie.

Policzki mi puchły od czerwieni.

- Nie wiem! Jestem od pewnego czasu bardzo roztargniony. Coraz trudniej przypominam sobie wszystko co było. Robię niektóre rzeczy po dwa razy - niektórych nie robię wcale. Przed chwilą omal nie przyniosłem suchego chleba - tak byłem pewien, że go już pół godziny temu smarowałem. Teraz znów nie mogę sobie przypomnieć, czy jadłem już śniadanie - mówiłem szybko z rozpaczliwym poczuciem winy.

- To niedobrze. Jak można nie pamiętać o takich konfiturach! Mają wygląd, zaiste, tak wyborny, że zdają się nosić w sobie większą część prawdy istnienia, niż jakakolwiek inna rzecz z tego świata. Zjedźże na wszelki wypadek śniadanie razem ze mną. Na wszelki wypadek - gdybyś zapomniał znów - żebym mógł pamiętać za ciebie.

Przyniosłem sobie śniadanie i usiadłem naprzeciwko. Mistrz jadł wolno, po każdym kęsie przymykając oczy. Gdy przełknął, znów otwierał oczy i przez chwilę czytał z książki opartej o stojącą na stole butelkę po piwie.

Słońce szturmowało coraz natarczywiej do wnętrza pokoju. Wkrótce już wszystkie sprzęty i nas obu opływała złota i nieruchoma łagodność.

Mistrz z wypiekami na twarzy przerzucał szybko kartki i nawet od czasu do czasu spoglądał ukradkiem na ostatnią stronę. Ośmieliłem się zapytać go, co czyta.

- To najpiękniejsza książka mego życia: zebrane fugi Jana Sebastiana Bacha - odpowiedział dopiero po chwili, pokazując mi stronnice nadrukowane pięcioliniami pełnymi magicznych znaków muzyki. Potem dodał jakby zawstydzony:

- Nie miej mi za złe tego zwyczaju prostaczków, Karolku. Wiem, że postępuję gminnie, zaglądając co chwila o parę kartek dalej, zaciekawiony jak się to wszystko skończy. Nietrudno! Nie mogę się od tego powstrzymać już w tym miejscu, gdzie dwa szermujące ze sobą tematy łączą się nagle, aby razem napaść na trzeci, który zjawiał się dopiero przed chwilę. Jest to zbyt bezwzględne, zbyt bezwzględne! Czuję się wtedy sam czwartym tematem, który walczy przeciwko tamtym dwóm. Ach, czyż to się może dobrze skończyć?

Smarowałem machinalnie nowe kromki chleba i podsuwałem mistrzowi.

- Na pewno dobrze się skończy. Na pewno - mówiłem.

- Tak myślisz?

Mistrz oderwał się od lektury i z rozczuleniem spoglądał na rosnące przed nim porcje chleba.

- Mój Karolku! - rzekł.

Wyjąłem nóż z chleba.

- Mój Karolku! Przypomnij mi, żebym kupił podczas naszej rannej przechadzki ładunek dynamitu.

- Dynamitu? - przeraziłem się.

Mistrz pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i wzniosł w górę wskazujący palec.

- Tak, chłopcze! Dziś dokonamy czynu, z którym nie możemy dłużej czekać. Wyszadzimy w powietrze wielkie składy nut i fortepianów

w naszym mieście.

- Składy grubego Teofila na ulicy Marynarzy? - krzyknąłem zaskoczony i rozentuzjzmowany.

- Tak, tak! Właśnie - mówił już teraz spokojnie mistrz. - Czyżbyś nie rozumiał przyczyn mego postanowienia?

Milczałem.

- To proste przecież. Czyż nie rozumiesz, że tolerowanie w dalszym ciągu takiego stanu rzeczy, jaki tam miał miejsce, musiałyby spowodować nieodwołalną katastrofę na nasze małe miasteczko? Systematycznie trwające od lat magazynowanie instrumentów i narzędzi muzyki musiałyby przecież w końcu doprowadzić do tego, że muzyka sama, ta niewyraźna, nieudźwięczniona jeszcze, nieuchwytna idea muzyczna, żyjąca wkoło nas, pozbawiona ciągle możliwości zapłodnienia jej przez dźwięki, zechce nas pewnego dnia porzucić. Znajdzie sobie wyjście gdzie indziej. Daremnie będziemy jej poszukiwali, stroili nieskończenie w mrocznych składach długie szeregi fortepianów! Na próżno będziemy odkurzali całe sterty nut! Muzyki już między nami nie będzie.

Zerwałem się porywczo.

- Więc rozdajmy to raczej między ubogich! - Zawołałem. Każdemu biedakowi damy fortepian i komplet nut. Dajmy im to, jak skarbonki. Niech ciułają do nich, każdy swoją muzykę!

Mistrz uśmiechnął się i pokiwał melancholijnie głową.

- Cieszę się, Karolku, z twego zapału. Masz szlachetne zapędy społeczne! Kiedy byłem w twoim wieku, też myślałem w podobny sposób. Niestety - rozłożył bezradnie ręce - nie starczy nam na to sił! Sprawa zaszła już zbyt daleko, abyśmy mogli pozwolić sobie na powolne działanie. Ratunek jest teraz tylko w nagłej akcji. Powodów jest jeszcze mnóstwo. No pomyśl!

Pomyśl! Jak tam mogą leżeć spokojnie w stertach, blisko siebie te autografy: mocne, spokojne nuty Bacha i różnokolorowe kreskowania Strawińskiego? Przecież one tam płowieją z bezsilnego wzajemnego gniewu. Wzajemnie chciałyby sobie skoczyć do swych pauz i kluczy wiolinowych. A nie mogą! Nie mogą, bo muszą czekać długie lata, zanim je może ktoś kupi i zechce z nich grać. Muzyka w ten sposób kiśnie tam i zatracą się. Już nawet wiatry tutejsze nasycają się tym bezsilnym czekaniem nut. Nie zauważyłeś? Są teraz wcześniej porywiste, nerwowe i bezmuzyczne. A już przy samych składach wzmagają się natarczywe ogłupiałe, łapczywe i dobijają się desperacko do drewnianych ścian. Musimy iść za instynktem wiatru, Karolu.

– Jestem więc gotowy! – rzekłem poważnie, jak tego wymagały okoliczności.

– Dziękuję ci.

Muszę przyznać, że byłem trochę podniecony. Jakby w oczekiwaniu rozkazów, patrzyłem uważnie na mistrza. On tymczasem pogrążył się w zadumie. Poruszał wolno szczękami, przeżuując jakieś myśli ważne i konieczne i nagle zrobił ruch niewytłumaczony. Zaczerpnął ostrożnie łyżką trochę cukru, wrzucił do kubeczka i zaczął starannie mieszać. Widziałem przecież od dawna, że kubek jest... tak, że jest pusty!

– Mistrzu! – szepnąłem. – Czy nalać jeszcze kawy?

Otrząsnął się lekko z jakichś myśli. Dopiero teraz jakby spostrzegł, co robił.

– Coś takiego. – rzekł zdumiony. – Byłem pewien, że w kubku jest kawa i dopiero teraz zacznę ją pić.

Nie mówiłem nic. Czyżby i on był roztargniony. Mistrz siedział dłuższą chwilę w zadumie.

– Więc to jednak tak. Więc to jednak już – wyrzekł wreszcie jakby do siebie.

Potem dodał szybko:

– Mój Karolku! Mój dobry Karolku! Nie mam prawa ukrywać przed tobą istotnego stanu rzeczy. To nie my jesteśmy roztargnieni. Wszystkie te fakty potwierdzają moją hipotezę roztargnienia samego czasu. To nie my, lecz on właśnie – czas, rozluźnił swoje prawa i związki. Być może, już niedługo zobaczysz rzeczy przedziwne, które będą się musiały stać z tego powodu. Być może... chciałem cię tylko uprzedzić, Karolu.

Siedziałem milcząc, nic nie rozumiejąc. Chciałem zadać mistrzowi jakieś pytania, dowiedzieć się czegoś bliższego i nie mogłem się zdecydować na wybór potrzebnego słowa.

Mistrz ubierał się właśnie w swój codzienny strój spacerowy. Spokojnie, nawet pedantycznie kładł białe obszerne spodnie i taką samą marynarkę. Była wprawdzie późna jesień – za chłodno trochę na białe ubranie. Mistrz jednak lubił je szczególnie i z żalem się z nim rozstawał, gdyż te białe poły i rękawy znakomicie nadawały się do robienia podręcznych notatek w okolicznościach, w których brakowało papieru. Tymczasem pokój wypełnił się już do sufitu słonecznym chybotaniem powietrza wypełnionego wirującymi cząsteczkami kurzu. Migotliwy i kolorowy pył nasycił dokładnie całe nasze pole widzenia. Wibrował falami gęstniejącymi w barwach coraz wyrazistszych, choć wiecznie zmiennych. Działo się to po prostu w ten sposób, że dwie kontrastowe plamy barwnego powietrza, zbliżywszy się zbyt blisko siebie, odskakiwały nagle w przeciwne strony i zostawiały między sobą wolne miejsce, w którym rodziła się trzecia plama barwna.

Tak to podchodziło ku nam coraz bliżej od strony okna rytmiczne falowanie kolorowych światła.

Zapatrzony doznawałem uczucia jak gdyby

zadośćuczynienia za moje uczniowskie prostactwo.

Wtedy właśnie zza okna wpłynęła wolno na to powietrze rozfalowane kolorami już do granic jakiejś wytrzymałości – ryba. Zwyczajnie, niewielka ryba. Wolno, poważnie poruszając pyszczkiem, zaczęła opływać dookoła nasz żyrandol. Potem bez większego wysiłku przewierciła go na wylot, okręciła się dookoła siebie, zatrzepotała figlarnie ogonkiem gdzieś pod sufitem i teraz jednym rzutem spadła na mnie.

Krzyknąłem. Ryba spokojnie przepłynęła przeze mnie i opuściła pokój oknem. Próbowałem się uspokoić.

– To jedna z najpiękniejszych twoich sztuczek, mistrzu! – rzekłem.

Mistrz czyścił rękawem rondo słomkowego kapelusza.

– Ach, Karolku! Karolku! – powiedział z lekkim wyrzutem. – Z jakim trudem wnikasz w głębię zjawisk. Uprzedzałem cię przecież. Czemu zlekceważyłeś moje uwagi?

– Więc ta ryba napowietrzna...? – kiełkowało coś we mnie z trudem niezmiernym.

– To tylko wina czasu, czy może zasługa raczej. Czas mój miły, zachowywał się dotąd rytmicznie. Rządził się prawami muzyki. Postępował z wszystkim według pewnego taktu, który myśmy nazwali minutami, sekundami i jeszcze inaczej. Była to zresztą, wyznam ci, miara niedokładna nieco. W istocie czas pulsował według miary pewnej fugi Bacha, granej już bardzo dawno temu w taki dzień, jak dzisiejszy. No, ale mniejsza o to. Otóż od niedawna ten stary czas zaczął coraz widoczniej tracić takt. Stało się to niewątpliwie pod wpływem zbrodni dokonanej na muzyce przez grubego Teofila z ulicy Marynarzy. Czas bez muzyki – muzyka bez czasu, to, mój dobry rzeczy niesłychane, sprawy zbrodnicze, mogące przyprawić o szaleństwo. No i masz! Cierpliwy czas

zwariował wreszcie.

– Ach, ale przecież gruby Teofil nie zamknął jeszcze całej muzyki. Czyż muzyka to tylko fortepiany i nuty?

– No właśnie. Właśnie. Zbrodnia nie jest jeszcze całkowita. Masz rację, ale też czas niezupełnie oszalał. Jest tylko jakby przesadnie roztargniony. Sprawia takie wrażenie, jakby nie troszczył się wcale o nas, tylko o muzykę.

– I zważ co się stało – rzekł mistrz, rozstawiając patetycznie nogi i wznosząc w górę dłonie z rozwartymi kabalistycznie palcami.

– Zważ, mój chłopcze. Ta ryba, którą widzieliśmy, tak niefrasobliwie mimo nas się zachowująca, jest rybą sprzed lat tysiąca dziewięćset sześciu. Tysiąc dziewięćset sześć lat temu w miejscu, gdzie się znajduje nasze ciche miasteczko, był zalew morski. I oto roztargniony czas zapomniał o takcie tych lat i pomieszał wszystko haniebnie i znakomicie. W dalszym ciągu zostawił zalew morski o tych kilkaset lat wstecz, ale przywrócił z powrotem ryby. To przecież proste. Ta ryba pamiętała jeszcze w tym miejscu wodę i dlatego pływała tu sobie tak swobodnie i ironicznie.

– Ach, to znakomite. Proste i znakomite – zawołałem radośnie, aby zagłuszyć w sobie nagły niepokój przed rzeczami niezrozumiałymi i niespodziewanymi.

– No, widzisz. Widzisz – rzekł znów łagodnie mistrz. – Daj mi teraz moją laskę i chodźmy na miasto. Na spotkanie dziwności czasu.

Wyszliśmy.

Byłem po prostu zaskoczony banalnym, codziennym wyglądem naszego miasteczka. Kiedy tak siedłem obok mistrza, kroczącego anielsko z rozwianymi białymi skrzydłami marynarki i pobrząkującego wesoło laską po bruku, miasteczko przetaczało się swoim leniwym życiem

przez skwarne południe i miejski rynek.

– Niedziela. O, tak. To dobrze – rzekł mistrz. Niedziele są najodpowiedniejszymi dniami do zamachów.

– Więc dzisiaj jest niedziela? – zapytałem z niedowierzaniem. – Skąd taki wniosek?

– Patrz. – Mistrz wskazał laską.

Rzeczywiście. Pod wodotryskiem rynkowym stał oddział strażaków w złotych hełmach i dał w mosiężne trąby. Słońce własnym złotem kapało obficie z tych złocistości ziemskich. Tak, to była niedziela.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że przecież... Ach, no tak, że przecież trąby nie wydają żadnego głosu. Na próżno pięknie ubrani, smukli chłopcy marszczyli brwi i nadymali pąsowe już policzki. Trąby w ich rękach spoczywały spokojne, senne i złote.

– Widzisz? – rzekł mistrz. – Widzisz. To samo. Roztargniony czas nie chce, czy nie może już utemperować, uzgodnić ze sobą dwóch momentów, które jeszcze wczoraj byliśmy skłonni uważać za niewątpliwie następujące po sobie a nie równoczesne. Te trąby pamiętają jeszcze niedawny niemy spoczynek i dlatego tylko milczą. Kto wie, co się dzieje w tej chwili z tą natarczywością muzyki, która się teraz wytwarza.

– Więc dźwięki...? – zapytałem lęklwie. – Dźwięki, to jeszcze nie muzyka?

Mistrz otoczył mnie ramieniem. – Dźwięki – rzekł – to tylko dobijanie się do drzwi, za którymi czeka muzyka.

Podeszliśmy do biednych, złotych strażaków i pogładziliśmy ich po zmęczonych i przerażonych twarzach. Odpowiedzieli nam mocniejszym i bardziej tragicznym w swej bezsilności nadęciem policzków.

Dziwność czasu potęgowała się nieuchronnie. Czuję lekkie drżenie całego ciała. Co mógł teraz

czuć mistrz? Jakie pulsowania, szmery nieobjęte i niepojęte. W tej chwili przeszła obok nas grupa miasteczkowych dziewcząt, wystrojonych niedzielnie i tanio. Mistrz zatrzymał się i klepnął dwie najbliższe w różowe podbródki. Dziewczęta parsknęły chi chi tliwie, a on stał i patrzył jeszcze długo na ich nogi wysmukłe, młode i radośnie trzpiotowate. Ach, co miał na myśli tak postępując? Jakiej niepojętej dla mnie mądrości miało to być symbolem? Był to może gest troskliwości o istnienie prostacze nieświadomie napływającej dziwności?

Gdy dziewczęta zniknęły za rogiem, mistrz rzekł sam niepytany:

– Tak, mój Karolku. W nabrzmiałych i ciepłych piersiach dziewczyn jest ta sama mądrość rzeczy, co w konfiturach. To znaczy: jest jej tam znacznie więcej niż gdziekolwiek indziej.

Te słowa tajemne zapadły mi głęboko do serca, choć jeszcze nie rozważałem ich pięknego sensu.

Wstąpiliśmy teraz do małego sklepiku spożywczego i poprosiliśmy o duży ładunek dynamitu. W tych burzliwych czasach było go tam z każdym dniem więcej niż mąki i jabłek. Gdy już leniwa sprzedawczyni odważyła nam pedantycznie żadaną ilość (uważałem pilnie, żeby nie było niedowagi) i wychodziliśmy znów na rynek po trzech drewnianych schodkach, minął nas w drzwiach niski, skromnie ubrany człowieczek w trójgraniastym kapeluszu.

– Ależ to jest... to jest... – jękałem się krzyżąc i bojąc się jednocześnie powiedzieć do końca.

– Tak, to jest Napoleon Pierwszy – dokończył mistrz.

– Jak to ? Skąd? Dlaczego? To żart chyba – wołałem natrętnie.

– Czyż ja żartowałem kiedykolwiek, mój Karolku? – odpowiedział mistrz z wyrzutem. – Dlaczegoż to fakt istnienia pływającej ryby bez

wody, gry na trąbie bez dźwięku wydaje ci się bardziej możliwy do przyjęcia, niż roztargnienie czasu Napoleona? Cesarz męźnych Francuzów pamięta siebie przebywającego w naszym miasteczku przed wieloma laty. Roztargniony czas i tu jednak wypadł z taktu i pozbawił cesarza jego świty, wojska, otoczenia, no, wszystkiego tego co się składało na jego czasy. To przecież proste, chłopcze. Czemu tak się trzęsiesz?

Bo... bo... – szukałem możliwie honorowego kłamstwa. – Bo byłem zawsze ciekawy jak wygląda Napoleon. Nigdy go jeszcze tak z bliska nie widziałem.

– Ach, więc zaraz mu się przyjrzymy, gdy będzie wychodził ze sklepu. Chodźmy tutaj – rzekł mistrz pociągając mnie za rękę. Stanęliśmy za załomem muru. Serce galopowało mi ciężko, nierówno i co chwila przepuszczało kilka uderzeń.

Wreszcie Napoleon wyszedł ze sklepu. Szedł przez rynek szybkim truchtem i zwisająca mu u boku szabla krzeszał z bruku iskry.

– Zdaje mi się, że gdy wchodził do sklepu nie miał szabli – zauważyłem lękliwie, bo już bałem się polegać na własnej pamięci.

– A to co za figiel, drogi Karolu – wykrzyknął mistrz, jakby ubawiony czymś nagle. – To już drugi, zupełnie inny Napoleon. Ten znowu jest całkowitym produktem twojej pamięci.

– Więc jakże? Jakże to? Czyż może być dwóch Napoleonów? Dwóch różnych, poruszających się żywych, kupujących coś w sklepikach?

– Ależ tak. Istnieje tylu żywych, osobnych o nich wspomnień. Każdy ma swojego Napoleona. Ba, ale, mój miły. Twój Napoleon jest wręcz niebanalny. Nosi szablę, co mu się za czasów jego pamięci nie przytrafiło nigdy.

– To dlatego – wyznałem ze wstydem – że w czasie gdyśmy się uczyli w szkole historii Napoleona, ja miałem zapalenie okostnej i byłem

długo nieobecny w szkole. Stąd pewnie ta żywa kompromitacja mego nieuctwa.

– To nic. To nic, drogi chłopcze. Takich upiększeń i deformacji mogą się wstydzić tylko umysły prostacze i logiczne. Natomiast intelekt polotne i wzniosłe winny się tym szczyścić. W istocie bowiem Napoleon widziany przez nas początkowo wcale nie wydaje się być starszy rangą od tego, który tam skręca w stronę mostu. Obaj są prawdziwi i rzeczywiści, co mogło się wyraźnie okazać dopiero od chwili zdemaskowania się roztargnionego czasu.

Mimo łagodnego, rzeczowego tonu mistrza, czułem rosnący, a niewytłumaczalny przecież niepokój. Słońce zsuwało się bezszelestnie po drugiej stronie nieba. Żłote, ostre światło zaczęło matowieć czerwono i gasnąć. Zapalały się drzewa na horyzoncie.

– Chodźmy stąd. – prosiłem. – Tak, chodźmy, chodźmy – dorzucił mistrz wesoło, jakby nie rozumiejąc mego tonu. – A więc dokąd pójdziemy? – znów podniósł do góry rozwarłe palce obu dłoni. – Odwiedzimy Jana Sebastiana Bacha.

– W jaki sposób? – zapytałem naiwnie i bojaźliwie.

– Znów bardzo po prostu. Zobaczymy przy pracy tego mocarza dźwięków, Bacha, który istnieje gdzieś tam powołany do życia raz na zawsze twoją pamięcią. Wiesz przecież, pocziwy chłopcze, że byłoby to dla mnie zupełnie drobiazgiem przeniesienie cię stąd o setki kilometrów, do jego rodzinnego miasta.

– Wiem – przytwierdziłem upokorzony bezsporną wszechmocą mistrza.

– Więc właśnie. Jest to jednak niepotrzebne zupełnie, gdyż w twojej wyobraźni nie istnieje jakkolwiek inny świat poza naszym miasteczkiem. Z łatwością więc umieszczasz Bacha, znanego ci

z moich opowiadań, na jednym z przedmieść tej naszej małej i bezgrzesznej miejsciny.

Ostatnie słowa wypowiadał mistrz już w chwili, gdy oddaliliśmy się znacznie od rynku. Domy stawały się teraz coraz rzadsze, nieregularne, koślawe, pochłapane czerwonym już zupełnie słońcem. Z wysiłonym trudem starałem się poznać te ulice, które powinienem był przecież znać doskonale. Znałe widoki tymczasem matowiały, gmatwały się i dziwaczały. Szliśmy jakby w głąb tej dziwności trudnej jeszcze do określenia, a jednak już oczywistej.

Weszliśmy teraz w jakąś niezbyt brudną uliczkę, przy której stał szary jednopiętrowy dom obrośnięty brunatno-czerwonymi jesiennymi winoroślami. Szarość i czerwień odpowiadały sobie potrzebnie i spokojnie. Odczułem to jako łagodną pocięchę.

- To tu - szepnął poufnie mistrz wzięwszy mnie pod rękę.

Ostrożnie przywarliśmy twarzami do szyb parterowych okien. Trudno było dojrzeć coś wyraźniej. Wewnątrz był mrok szary, kleisty i zupełny. Dopiero po chwili spostrzegłem przymglone, ciemne zarysy czegoś poza mrokiem.

- To on - rzekł mistrz zmarszczeniem czoła i przyciśnięciem mojej ręki.

Wyteżyłem wzrok. Rozpłaszczyłem się na szybie. Dostrzegłem. Taki sam, jak w opowiadaniach mistrza. Siedział przy stole. Widziałem białe koronki u rękawów, wysoką białą perukę i twarz. Nie, twarz była zasłonięta dłońmi, lecz i przez te dłonie wyczuwałem jej rumianą, grubokościstą pełność.

- Dlaczego nie gra, nie pisze? - spytałem szeptem.

Mistrz nic nie odpowiedział. Bach siedział nieporuszony, niknący wolno w gęstniejącym

mroku. Nagle zadrgał spazmatycznie. Zrozumiałem - płakał.

Nie pytałem o nic więcej. Nie mogłem dłużej tak patrzeć. W krtań łaskotało mnie wzruszenie nagłe, które mogło lada chwila zmienić się także w płacz. Odwróciłem się od okna uczepiony ręki mistrza, który mówił dalej spokojnie.

- Oto, mój drogi, człowiek, który z pośród wszystkich ludzi najbardziej żył z czasem na bakier. On pierwszy. Jego sława muzyczna rozpoczęła się dopiero w sto lat po jego śmierci. Czy nie domyślasz się, że było to pierwsze wielkie roztargnienie czasu zasłuchanego w jego muzykę?

Chciałem odpowiedzieć, lecz w tej chwili ujrzałem coś, co podziało na mnie jak -- Nie, nie mogłem sobie tego dokładnie uświadomić. Był to już jednak tylko strach.

Oto po drugiej stronie ulicy ujrzałem te same dziewczęta, które minęły nas na rynku i obok nich -- tak, obok nich mistrza dotykającego przekornie i mądrze ich różowych podbródków. Jednocześnie widziałem drugiego, takiego samego mistrza, stojącego obok mnie ze swoim uśmiechem jowialnym i zamyślonym.

- Co to? Co to? Mistrzu! - wołałem głupio, ale rozpaczliwie, nie mogąc się zdecydować na zwrócenie się do jednego z nich, obu jednakowych a tak różnych.

- Dlaczego Cię to dziwi, Karolku? - rzekł spokojnie ten stojący przy mnie. Czy sądzisz, że my obaj jesteśmy na prawach wyjątkowych na tym świecie? Więc dziwi Cię to, że nie istniejemy pojedynczo, lecz jest nas w rzeczywistości tylu ile jest naszych myśli, wspomnień, uśmiechów i postanowień?

Teraz nagle ujrzałem trzeciego mistrza, siedzącego na ziemi i zajadającego konfitury. Obok czwartego, czytającego jakiś zbiór nut. Między nimi

trzema przechodził ostrożnie, trzymając w jednym ręku kubek, a w drugim –

Krzyknąłem.

Tak, to byłem ja sam. Taki sam identyczny, tylko przedpołudniowy. Szedłem sobie spokojnie, uważnie, ostrożnie zapatrzony w rytmiczne chybotanie się kawy, nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na tego drugiego mnie, który patrzyłem na niego ogłupiały i zastraszony. Z bocznej ulicy wybiegł teraz jakiś młodzieniec wesoło podskakujący, mający śmiesznie zieloną konewką i gwizdzący coś bezgłośnie.

Wiedziałem, że to był walc z „Fausta” i – że to byłem trzeci ja.

Przerażony ostatecznie upadłem przed mistrzem na kolana.

– Mistrzu – wołałem zamknawszy oczy, żeby nie widzieć podwójnego siebie. – Drogi mistrzu. Powiedz wreszcie, że tylko sobie tak zakpiłeś z pocziwego prostaka. Powiedz, że to nieprawda. Że to tylko arcydzieła mojej imaginacji, w którą kazałeś mi uwierzyć. Powiedz. Uratuj mnie od samego siebie, który się mnożę nieskończenie.

– Karolku, mój dobry Karolku. Uspokój się. To przecież prawda. To rzeczywistość, która dzieje się tym razem naprawdę bez mojego współdziałania. Sama.

– Ach, jak tak nie mogę. Nie mogę. Muszę wreszcie wiedzieć który ja jestem prawdziwy, a który jest tylko przeszłością. W ogóle chcę wiedzieć wszystkie rzeczy pojedynczo, konkretnie. Chcę wiedzieć, które są, a które tylko były, bo inaczej –

– Pomnij wreszcie, – przerwał mistrz łagodnie, ale stanowczo – pomnij wreszcie, że w istocie to co przyzwyczaiłeś się nazywać przeszłością nie istnieje. Była to blaga wymyślona przez umysły ograniczone. Naprawdę istnieje ciągle tylko teraźniejszość. W niej mieszczą się wszystkie nasze

myśli i czyny minione i obecne. Tak było zawsze. Tylko że dotąd rytmiczny czas dzielił to wszystko w jakiś sposób małomieszczański, pedantyczny. Szufładkował nasze słowa i gesty, nie pozwalając na konfrontację między nimi. Obecnie przez zwykłe roztargnienie czasu zdemaskowała się ta długo ukrywana blaga.

– Och, tak, tak – nie mogłem się mimo wszystko uspokoić. – Tobie, mój mistrzu, łatwo mówić tak spokojnie. Cała dziwność rzeczy łąsi się do twoich rąk posłuszna i zrozumiała. Ale na mnie, prostaka zwala się, przygniata, straszy mnie i męczy. Mistrzu, – objąłem jego nogi. – Zabierz mnie stąd gdzie indziej, dokądkolwiek. Przecież to dla ciebie będzie drobiazgiem, niczym. Wyratuj mnie od mojej twarzy i rąk. Uczyni mnie choćby nutą fugi Bacha. Ostatnią małą nutą. Żebym sobie mógł tam leżeć rozpięty na pięcioliniach i czekać spokojnie, bezmyślnie, mistrzu!

Mistrz podniósł mnie z kolan i zaczął gładzić po głowie.

– Oczywiście, byłoby to dla mnie drobnostką. Ale czy ty wiesz Karolku, o co prosisz? Być nutą z fugi Bacha? O, czy wiesz co czuje zwykła nuta? Jak musisz skupiać się w sobie, gdy już drżą pięciolinie od dźwięków nut początkowych, coraz bliższych. Z jakim niepokojem czeka na ten zbliżający się dźwięk. Czy jesteś pewien, że zdobyłbyś się na obojętne istnienie obok dźwięku, który miałbyś tylko oznaczać? Przecież tak samo jak teraz drżałoby ci maleńkie czarne serce, gdybyś czuł nieskończone powtarzanie się samego siebie w dźwiękach i odpisach nut. Nie, kochany, ja na to pozwolić nie mogę.

– Więc co to będzie? Co będzie? Ja tak przecież nie mogę.

– Uspokój się, uspokój. Daj dowód tego, że jesteś przecież moim uczniem, uczniem mistrza nonsensu. Spokojnie. Dzień dzisiejszy wymaga od

nas przecież wielkiego przedsięwzięcia.

Dopiero to zdanie przywróciło mi trochę skupienia. Prawda. Mieliśmy przed wieczorem wysadzić w powietrze składy nut i fortepianów przy ulicy Marynarzy. Ta myśl umocniła we mnie przekonanie, że przecież mimo wszystko cokolwiek stać się jeszcze może, mistrz pamięta o wszystkim i czuwa także nade mną jak nad składem nut. To już pewnie niedługo. Trzeba się przecież przygotować, zapomnieć o swym małym, człowieczym strachu w tej chwili, gdy sam mistrz pochłonięty jest przecież tylko myślą wyświadczenia dobrodziejstwa tej sprawie nadludzkiej.

Teraz właśnie ulica opustoszała od naszych podwójnych postaci. Weszły na nią znów dziewczęta chichotliwe i różowe.

– Przepraszam cię, Karolku, na chwilę. Mam do załatwienia pewną drobną, ale na wskroś metafizyczną sprawę. Zaraz wracam.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo już mistrz nie oglądając się na mnie skierował się w stronę dziewczyn. Najbardziej różowa odłączyła się od grupy i podeszła do niego. On zaś, wielki mistrz nonsensu, przekładał kłopotliwie z ręki do ręki podłużną paczkę z dynamitem i zaglądał dziewczynie w oczy. Wreszcie zdecydował się schować dynamit w obszerną kieszeń marynarki i objął wpół perkalową różowość.

Teraz dopiero przeraziłem się ostatecznie.

W tym jego pośpiechu, krygowaniu się, łąpczywości niezgrabnej i natrętnej było coś tak ludzkiego, coś tak bardzo ludzkiego. W nerwowym uśmiechu obnażył swoje zęby. I oto one dotąd tak doskonałe i konieczne były tu czymś nieporadnym i szczerbatym.

Zawołałem z rozpaczą ogromną:

– Mistrzu!

Ale on nie drgnął nawet. I tak pochylony śmiesznie ku dziewczynie zniknął w jakiejś bramie drepczący nieporadnie i uderzany niemiłosiernie po łydkach ładunkiem dynamitu.

Nie zdziwiłem się jego milczeniu. Przyjąłem je rozczarowaniem głuchym i ogromnym. Nie odpowiedział bo nie czuł się już mistrzem... Może nie był nim nigdy? Otumaniał mnie tylko małymi kuglarskimi sztuczkami i wreszcie zdemaskował się w tym dniu powszechnej demaskacji. Był więc zwykłym człowiekiem.

To odkrycie przywróciło mi nagle własną godność i podniosło jej znaczenie wyżej, niż się tego mogłem kiedykolwiek spodziewać. Byłem więc demaskatorem nonsensu. Odkręciłem się wesoło na pięcie – i nagle potknąłem się z nagłego wrażenia.

Ujrzałem biegnących w moją stronę, stłoczonych w popłochu; panicznym i gwałtownym – strażaków. Jakże wyglądali okropnie. Pogubili złote kaski i trąby. Na ich męźnych piersiach dzwoniły jazgotliwie i tchórzliwie rzędy orderów. Z wytrzeszczonymi z wysyłki i strachu oczami pędzili na oślep gnani przez fałszywą, nędzną, ale gwałtowną i głośną strażacką muzykę, która wreszcie wytrysnęła z trąb i ściagała ich gwałtownie. Nic nie pomogło porzucenie trąb ani zatykanie uszu. Chropawe i ryczące dźwięki cwałowały za nimi galopadą coraz szybszą i groźniejszą, gotową dopaść ich w każdej chwili.

Spoceni strażacy byli już blisko mnie. Spiętrzona w biegu muzyka zapowiadała, że już za chwilę wypadnie zza rogu i wtedy...

Zbladłem, skurczyłem się, przyczałem trwożliwie i tchórzliwie. Zrozumiałem nagle i boleśnie, że jestem sam, zupełnie sam, zagubiony bezradnie w środku dziwności rzeczy. Zrozumiałem, że nie mam mistrza.

Rzuciłem się na oślep do ucieczki. W pędzie minąłem siebie przywartego twarzą do szyby pokoju Bacha. Za mną czułem bezradny tupot strażaków i jeszcze bardziej bezładny tupot dźwięków.

- Dźwięki to tylko dobijanie się do drzwi, za którymi czeka muzyka - pomyślałem mimo woli. Teraz jednak poczułem całą pustkę tego zdania, gdy nie tkwiło ono w ustach mistrza.

W tej chwili oman nie wpadłem na jakąś wysmukłą postać w obcisłych pantalonach, która przechodziła wszczep przez ulicę.

Był to Ludwik XIV.

Zwolniłem bieg wbrew woli.

Ach, to było okropne. Nienawidziłem absolutyzmu francuskiego. A teraz nagle dowadywałem się, że on nienawidził mnie także. Wyplątał się swoim najdobitniejszym symbolem poprzez gąszcz czasu, aby mi przeciąć drogę właśnie w takiej chwili. Było to zbyt bezwzględne, aby moje kolana mogły nie zmięknąć nagle. Strażacy byli tuż za mną. Poczułem na plecach ich gorący, ogniowy oddech i zdwoiłem siły. Wpadłem w boczną uliczkę w nadziei, że strażacy pobiegną prosto. Niestety. Biegli dalej za mną, a tuż za nimi te dźwięki straszne, ryczące, do których na pewno przyłączył się mściwy, bezwzględny absolutysta, Ludwik XIV. Czułem to wyraźnie całą powierzchnią ścierpniętych ze strachu pleców.

Pędziłem coraz zacieklej. Wpadłem na ulice coraz bardziej zawiłe i coraz bardziej nieznane. Z bram wyglądały ku mnie straszne lub smutne twarze, które widziałem dawno temu w kinie, lub we śnie. Mrugały ku mnie migdałowymi oczami i nawoływały ustami klejącymi się od jakichś słów niedosłyszanych, wypowiedzianych w języku kina i snów. Gdy odrzucałem ich nawoływania niecierpliwymi gestami rąk i klaskaniem stóp po bruku, nie dawały za wygraną i mnożyły się,

ustokrotniały, zabiegały mi drogę i znów pojawiały się z Nienacka, mrugały, rozklejały wargi do wołania. Postanowiłem nie patrzeć na nie, nie myśleć i uciekać z głową wzniesioną w niebo. Z początku wydawało mi się to postanowienie heroicznym i uwalniającym. Ale już po chwili - Po chwili spostrzegłem, że na dokładnie czerwonym niebie, pośród chmur rozmazanych szeroko mocnymi pociągnięciami wiatru tkwiło słońce skamieniałe i nieruchome. Zwisło ono bezwładnie z boku tej wielkiej pąsowej wklęsłości, którą miałem nad sobą i czekało tak martwe, głupie, wypukłe. Gdy tak patrzyłem zdawało mi się, że mimo wartkiej i bolesnej pracy moich nóg, stoję w miejscu. Było to uczucie okropne. W spotęgowanym przerażeniu wtuliłem głowę znów w ramiona i gnałem, gnałem, gnałem.

Och, moc teraz dopaść jakiegoś miejsca jedyne, konkretnego, nierozszczepionego stukrotnie, mojego własnego. Dobiec do jakiejś rzeczy maleńkiej, skrawka czegoś, co by mogło być tylko proste i jedyne. Aby tylko tyle miejsca, żeby głowę nieprzytomną, przerażoną i rozpulsowaną skryć, zakopać, schować i milczeć - i już nic. Ale gdzie to może być takie miejsce? Gdzie? Gdzie?

Nagle ujrzałem przed sobą białe, długopole ubranie.

Zawołałem:

- Mistrzu, ratuj. Roztratuj mnie dźwięki strażackie i Ludwik XIV i czas i słońce!

Ale nie mogłem wydobyć głosu.

Poruszałem tylko ustami, jak tonący. Mistrz był mistrzem wczorajszym, idący pod rękę z wczorajszym karolkiem, którego nie śmiałem już nawet w myślach nazywać sobą. Gdy tak walczyłem ze śmiercią od wulgarnych, prostaczych, zbolszewizowanych dźwięków, żadnych mojej łatwej krwi, mistrz i Karolek tymczasem szli sobie gwarząc przekornie

i beztrąsko, nie zważając na mnie wcale. Zaczynało mi braknąć tchu. Kłuło mnie w piersiach, Widziałem już teraz, że tamci dwaj, to osobni, obcy ludzie, którzy byli tylko naśladowcami cudzych twarzy. Twarz mnie piekła boleśnie. Zrozumiałem, że klucie w piersiach to już tylko strach.

Nogi mi ustawały. Podniosłem znów głowę do góry i zobaczyłem niebo pokryte rozmnożonym i powtórzonym nieskończone słońcem. Milionem słońc. Wisiały one nade mną tak samo nieruchome, tak samo wypukłe i jesienne, ale tym razem wszechobecne, apokaliptyczne i ostateczne. Opadły mnie ze wszystkich stron. Nie było już dokąd uciekać.

Ostatkiem sprężonych sił skoczyłem do pierwszej z brzegu bramy. Zacisnąłem oczy i słyszałem tylko, że osła kawalkada przetoczyła się wściekłym galopem mimo mnie. Ale krótkie porykiwania puzonów były jeszcze ciągle blisko. Może to zresztą już nie dźwięk złotych trąb, tylko szalony łomot krwi w skroniach. A może jednak dźwięki: ciągle groźne, czujne, barbarzyńskie.

– Dźwięki to tylko dobijanie się do drzwi.

Zacząłem walić kulakami w jakieś drzwi. Mocno, szybko, coraz szybciej, aż do spuchnięcia pięści. Drzwi otworzyły się nagle.

Na progu stał mistrz biały, patetyczny, z rozelśnionymi migdałowymi oczami. Nad głową trzymał pałeczkę dyrygencką, gotową za chwilę spaść rozkazująco w dół.

Szarpnąłem się w tył, zacząłem jeszcze szybciej i błagalnej tłuc pięściami w przeciwnie drzwi. Może tu wreszcie będzie to miejsce jedyne, jedyne! Kiedy drugie drzwi otworzyły się na oścież ujrzałem w nich także tego samego mistrza, w tej samej postawie.

Dopałem drzwi trzecich, piątych, dwunastych. Gdy otworzyły się wszystkie – w każdych stał mistrz wspaniały, rozkazujący i anielski. W każdych czekał tak niemy, gotowy i stukrotny. A nad każdym drżała lekko i niecierpliwie złota pałeczka dyrygenta.

Skoczyłem do drzwi. Zacząłem się dobijać po raz ostatni. Gdy się otworzyły, stanąłem w nich ja sam i nagle ostrym cięciem powietrza opuściłem swoją pałeczkę w dół. Jednocześnie ten sam ruch wykonały wszystkie postacie stojące w drzwiach.

Wybiegłem przed dom.

W tej chwili rozległ się straszny huk. Czarnymi nutami deszczu spadła z nieba jakaś ogromna pochłaniająca wszystko muzyka. Znikło stu mistrzów w stu drzwiach. Ludwik XIV, Napoleon, Bach i strażacka orkiestra. Rosła tylko i potężniała ta muzyka patetyczna i jedyna. Cała wielość, ustokrotnienie, zawiłość – oto wszystko ginęło w szybkim, kroplistym straccato. Ziemia poczęła zbierać muzyką po brzegi i wystrzelać w górę wysokimi tonami drzew. Wtedy huk powtórzył się po raz drugi. Muzyka zaczęła nacichać a niebo wypogadzać się.

Ujrzałem kłęby ognia i dymu. Wśród nich wyskoczyło coś białego i poczęło się szybki związać w górę.

Był to mistrz wyrzucony w powietrze razem ze składami nut i fortepianów.

Dojrzał mnie i machnął przyjaźnie ręką. Tak go widziałem z tą ręką wyciągniętą w górę zanim nie oddalił się tak bardzo, że już wyglądał tylko jak mały punkcik z kreską –

– jak mała ostatnia ćwierćnuta z fugi Bacha.

Wtedy się zwyczajnie, po ludzku rozplakałem.

HYMN

Ty, coś mi w płucach kwiat tytoniu zasiał,
Że rośnie i świeci moim trudnym snom.
Czy wiesz?
Ziemia spalona ma gorzki zapach.
Rzeki wiosenne wciąż płyną
Obłoków surowych
Kra.

Oczy moje
Zatopione w cieniach liliowych,
Jak na mapie
Śledzą w supłach żył.
Czy wiesz?
Usta muszę zaciskać surowe.
Kiedy krzywda małych i prostych
W oktawach płaczu nad miastem drży.

Gdy przechodzę po twardych brukach,
Jak przez życie
Na ukos
I odciskam twarde ślady stóp;
Tam, gdzie tylko troska i kamień –
Troskę stopom odejmij,
Bruki w chleby słów
Zamień.

Może wołam na próżno i – po co?
Może tylko mową Twoją przywalony,
Jak w topieli
Słów wychlusty rękami rozgniatam
Coraz trudniej i bardziej obco?

Czy wiesz?
Żeby ból mój w krzyk jeszcze nie stwardniał,
Tak po prostu ku śmierci otwarty
Wiatr młodości połykam ustami.

Ja to wiem,
Ja jeden, bo któż by?
Jak to jest, gdy się twarz od snów kolczastych zmięta
Wyrwaną nagle z dłoni złożonych muszli –
Cudzych twarzy zmęczenie potwierdza,
Własnym pięściom niezmeńczonym zaprzecza.

W pięściach jest tęsknota niespełnionych spraw,
W twarzy smutek źle spełnionych rzeczy.

I tak idąc coraz głębiej w miasto
I tak w siebie idę coraz głębiej
Mijam troskę, złe sny, bruki, nędzę własną,
Krzywdę ludzi, rzeczy, gołębi.

Patrzę w twarz gniewowi Twojemu
Który spokój nam jesienny rozciął.
I tak idę
Własną małością zrozpaczony,
A po bokach żarliwą kołyszę nadzieję
Rzeźbioną w twarzach kształtnych zaciśniętych palców.

Zanim przyjdiesz nad ranem
Wybujale od blasku kwiaty tytoniu zbierać
Żeby już tak boleśnie nie kwitły, bo po cóż?
Ty, co umiesz
Ku śmierci łatwej otwierać –
Ku wielkości trudnej mnie otwórz.

Marek Zalewski [Wacław Bojarski]

O ŚMIERCI

Zarysy istot, którymi mógłbym być, ale już nie będę, milczą jak rozrzucone zabawki opuszczone nagle przez dziecko.

Śmierć jest ze mną i we mnie.

Chodzę w niej jak w płaszczu za dużym na mnie – więc szerokimi rękawami i ciągnąc poły po ziemi szeleszczącej jak blacha.

Nieprzezroczyście zapach mydła i przestrzeni oblepił obejścia mych bliskich, gdy odrywali się od istnienia jak wielkie kawały tynku. Przerażliwa zagadka ich roztopienia się okratowała mnie w separacie zgrzytliwej i daremnej. Już przestałem rzucać się na kraty, drapię się tylko w głowę i chodzę w kółko.

Śmierć niewyraźna – o tam – mieni się w oczach, rozciąga się i kurczy. Okrągła, lepka, ciężka i miękka jak ciasto toczy się na krótkich pajęcznych nóżkach – potem uwysmuklona nagle romantyczna, heroina – jest tą, która wdeptuje oczy końcami swych błyszczących francuskich obcasów.

A gdy potok ironii unosi ludzi – drewniane kukły o wyprężonych drętwo rękach i nogach – pęka z trzaskiem lustrzane przecucie braku mnie, który w pustce pozostałej będzie podskakiwał uwiązany na tykaniu wszystkich zegarów jak na sznurku.

Marek Chmura [Zdzisław Stroiński]

POEMAT LETARGICZNY

I.

Tak, w tych ścianach, za którymi piękna
błyskawica jak głóg ostra miota znaki smutnym
noc trwa ciągła; to jej usta uporczywe zostały na sękach
to jej palce widzę w deskach czarne jak na płótnie.

Świat odrębny, ach, poznaję: ludzkie
śpiewy śmieszne i zawiłe, lot ptaków, skrzy studzien,
klaskają bicze nad drogą, która już nigdy nie pójdę,
drzewa przystają, a kształt jakże mi jest znajomy.
Woda opada stromo i znowu barwy jej ucę
oczy me w noc wpatrzone.

Tu roślinność w milczeniu wzory rysuje płaskie:
księżyc pośrodku drobny, wokół zielony puch,
stół mój i lustro silne porosło pyłem jak lasem,
dywan kosmaty i ufny jak trawa leży u nóg.

Lecz nad gontem, lecz nad głową krąży niewidzialny
głaz kosmiczny w bieg rzucony wolę ręki mściwej.
Wiem, że warczy – lecz w tym domu gdzie puszyste palmy
jak na strunach drżą cieniu – głos pęka wśród ścian
i opada na me ręce omszałe jak grzyby.

II.

Nie powiedziane dziś wszystko, co było albo będzie.
Papier zostawię czysty i ćmę samotną i cichą,
zapomnę, pewnie zapomnę – drzewa zaświecą jak z miedzi,
chmury polecą splątane, deszcze otworzą muzykę,
niżej – konie na grzbietach mokrych pyski położą drżące
i wóz przetoczy się mały, horyzont mając po osie;
biały się księżyc rozwinie i będzie cisza spełniona.

Już nigdy kwiat ani owoc tych nut nie zdoła wywołać
pożegnalnych zbyt łatwo i wcześnie.
Jest sen. Oczy zachodzą błoną,
ciało przechyla się puste, chwieją się linie roślin
gwałtowniej coraz, bo światło szersze o wieczność miota
błyskawica ostra jak głóg.

Zapomnę, pewnie zapomnę – i sen mój tym samym grozi,
nie czeka w nim złotowłosa,
a dom mój krąży nade mną bez głosu, senny jak puch.

Karol Topornicki [Tadeusz Gajcy]

Z ZAGADNIEŃ KULTURALNYCH W PRASIE**PRESTIGE SŁABOŚCI**

Rosnąca ilość pism poświęconych kulturze, zaogniająca się atmosfera, w jakiej odbywają się procesy polskiej myśli kulturalnej, a jednocześnie tajemniczość, niejawność, nawet ich niepełność – przekonały nas o celowości wprowadzenia na łamy SiNu specjalnego działu polemiki.

Wbrew często słyszczanym opiniom, że nie czas dziś jeszcze na polemiki, jesteśmy zdania, że owszem – właśnie czas... Nie jest to propagowanie walki dla walki. Ideologia destrukcji. Ton polemik powinien mówić tu sam za siebie. Idzie o co innego. Należy się obawiać, że w naszej dzisiejszości

kulturalnej zbyt wyłącznie wszystko, co się dzieje, odbywa się w polu magnetycznym tych dwu biegunów: tworzenia i niszczenia, i że dzisiejszy człowiek kultury, czując się w łonie owych fermentów, owego burzenia się i wzajemnego rozbijania wrogich sił, odczuwa od czasu do czasu potrzebę spojrzenia na wszystko krytycznie, polemicznie nawet.

Coraz częściej zdarza się słyszeć zdanie, że dzisiejsze systemy i kierunki myśli są trochę jak kierunki wyznaczone igłą busoli podczas burzy magnetycznej. Igła tańczy wtedy jak oszalała

i wskazuje wszystkie kierunki świata naraz.

Pożyteczniejsze jest niekiedy w takich wypadkach uważne i krytyczne rozejrzenie dookoła siebie.

Burzliwy, oszałamiający proces tworzenia i niszczenia należy wzbogacić o jedno, o proces wypracowywania wzajemnych stosunków między wartościami tworzonymi i niszczonymi, o nakreślenie jakiejś mapy kulturalnej, na której odzwierciedliłyby się związki między odkrywanymi twórczo kontynentami...

Tyle na usprawiedliwienie powyższej inicjatywy.

Artykuł wstępny, jaki ukazał się w 7-8 numerze „Kultury Jutra” – pt. „Kompromitacja siły” jest zjawiskiem myślowym tak pasjonującym, że wręcz zmuszającym do podjęcia dyskusji. Nie sposób streszczać tu bogatego i żywego toku myśli autora. Syntezą całości jest sam tytuł. Autor znajduje, jako antytezę siły – sprawiedliwość, królestwo ducha, wiarę w humanitas w nas. Siła jest w tym ujęciu czymś lucyperyckim, bestialskim, z natury swojej złym. Na całą historię patrzy autor pod tym kątem widzenia: istnieje ciągle i wszędzie konflikt dwu tych wielkości - siły i ducha, siły i sprawiedliwości, siły i humanitas.

I tu od razu należałoby, wbrew sugestywnemu tokowi myśli autora, postawić pytanie. Dlaczego antytezą siły ma być sprawiedliwość, humanitas i duch ludzki?

Potocznie uważa się za taką antytezę siły po prostu – słabość. I tak, nawiasem mówiąc, rozumuje przeciętny czytelnik artykułu. „Jeżeli już kompromitacja siły – myśli czytelnik – to znaczy prestige słabości. Wszystko zło, które dzieje się w nas i naokoło nas, dowodzi wbrew pozorom, że byliśmy jednak zbyt silni. Tymczasem należy stawać się jak najslabszym, cherlać, chuchrzeć,

byle uniknąć – broń Boże – tej śmiesznej kompromitacji”.

Wiem, domyślam się w każdym razie, że autor nie tak to sobie wyobraża. Pamflet na siłę, tak jak ja przedstawiłem to tutaj, napisał mu się mimo woli. Chodziło mu o pewien skrót myślowy. O kompromitację siły jako wartości absolutnej, niczemu już niesłużącej siły czy raczej: naszej na pół religijnej wiary w siłę.

Niemniej skrót jest niebezpieczny i cała akcja, historycznie biorąc, trochę karkołomna.

Od jakże dawna nie zagrażało nam niebezpieczeństwo nadmiernej siły. Historia ostatnich wieków zna tylko i wyłącznie odyseję polskiej słabości. Błaganie się polskiej słabości, która cierpi, przeżywa niepokoje, tęskni – ale niczego nigdy nie może. Autor artykułu użył broni ostrej. Słowo – „kompromitacja” ma dla nas zawsze coś działającego na nerwy. Na myśl samą o niej tracimy spokój i rozsądek. Jesteśmy przecież ludźmi porządnymi, z opinią, z reputacją, z prestige'em – nie zdecydujemy się przeżyć żadnej kompromitacji, nawet kompromitacji nadmiernej siły. Będziemy porządni i słabi. Tak.

Rzecz tymczasem ma się inaczej. Autor zamiast skompromitować siłę, skompromitował tylko pewien etap naszej europejskiej kultury. To, co napisał w artykule o rozdźwięku między etyką a polityką, dałoby się powtórzyć tutaj. Kultura przedwojennej Europy była bohaterką drugiego takiego rozdźwięku: między siłą a dobrem. Między wartościami etycznymi a możliwościami realizacyjnymi.

Czym jest siła – ?

Sama przez się nie jest ani złem, ani dobrem. Jest możliwością, niczym więcej.

To tylko pewien etap czy typ naszej europejskiej kultury doprowadził do tego paradoksu: „Zło tkwi w samej sile. W samej

zdolności realizacyjnej. W możliwości”.
Kompromitujmy – możliwości!

Wiem: przejaskrawiam. Ale nie sposób stawiać tego inaczej. Jeżeli zostało już co skompromitowane – jak świadczy o tym wojna – to nie siła, ślepe narzędzie działań, ale kultura, nieumiejąca zaprząć siły i wyzyskać jej w imię dobra.

Jeżeli kowal nie umie sobie dać rady z młotem i upuszcza go na nogę, to nie znaczy bynajmniej, że został tym skompromitowany – młot. Chyba że wierzymy w groteskową bajkę o złośliwości rzeczy martwych, o antagonizmie rzeczy i człowieka i o tajemniczych tego następstwach.

Ale przecież nie o bajkę nam tu chodzi. O żaden czar ani o żadną fantastykę... Więc – ?

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

DWUGŁOS O „WIDMACH” TOPORNICKIEGO

Żyjemy w trudnym śnie.

Ukazał się nowy tomik poezji lirycznej (po Bugaja¹² „Wierszach wybranych” i anonimowym¹³ „Gdziekolwiek ziemia”) wyróżniający się korzystnie oprawa graficzną. Nie jest to bynajmniej złośliwostka mająca na celu delikatne zlekceważenie zalet tematycznych i formalnych zawartej w nim liryki, ale po prostu pierwsze wrażenie czytelnika. biorącego ot wydawnictwo do ręki. Autorem jest znany czytelnikom SiNu Karol Topornicki¹⁴. Tomik zawiera w części pierwszej dłuższy poemat, w drugiej – drobne wiersze.

Tytuł – „Widma”. „Biblioteka Sztuki i Narodu” str. 25. Powielono 250 egzemplarzy.

Poemat zamknięty w 10 pieśniach zaopatrzonych w tytuły i mających chwilami charakter samodzielnych liryków, nasuwa mi sposobem kompozycyjnego rozłożenia tematu porównanie do skomplikowanych utworów muzycznych. Wyobrażałbym go sobie jako koncert fortepianowy z towarzyszeniem orkiestry, w której dźwiękową przewagę miałyby partie skrzypcowe, a solo fortepianowe, powtarza ze zdziwieniem,

rozrastającym się aż do granic problemu, melodię głównego tematu:

„Czy znasz ten kraj.....?”

Ten kraj – gdzie „ryby na rzekach fioletu wypływają brzuchami do góry”, gdzie „jawia się niebom obcym geometryczne stygmaty”, a „ludzie o twarzach z wosku” na próżno „czekają na gałązkę oliwną, a może na gałązkę zwykłego śpiewu” – otacza nas widmowa dekoracja snu, z którego obudzić się nie możemy, który wchłonął nasze życie, aż wreszcie wśród męczących zamyślań zapomnieliśmy już co jest snem, a co rzeczywistością.

Pierwsza pieśń (I), narzucająca wyobraźni czytelnika wielowymiarowy obraz „tego kraju” rodzący się w impresjonistycznych planach i skrótach, wprowadza temat, który zmieniając tonację i nasilenie swej dynamiki, będzie się powtarzał w innych pieśniach, aby wreszcie zamknąć muzyczną klamrę po drugiej stronie poematu, w pieśni...

Poprzez „Pieśń mimowolną” (II), rysująca na brzmącym jeszcze echu poprzednich strof osobisty wątek poety w zastawieniu łagodnie sielankowej przeszłości z widmem dnia „w którym przy mięsie ofiarnym Kain ugodził brata”, czytelnik

staje już nie zaskoczony przez fortissimo „Pieśni ostatecznej” (III), w której bunt poety, rzucony w kosmiczną burzę żywiołów, umotywowany jest zawodem jakiego doznała jego ufność i rozbudowana na niej wiara. Jako efekt indywidualistycznego buntu przeciwko status quo otaczającej rzeczywistości, przeciw ciemnym mocom, rodzi się bezradność, nie identyfikująca się zresztą z leniwym poddaniem biegowi planet. Dołączająca się do poczucia bezradności świadomość osamotnienia, która zamyka pieśń, wydaje się raczej dumnym, choć nieco naiwnym spojrzeniem w oczy siłom, zonglującym słońcami przy akompaniamencie warkotu gwiazd, niż skargą i słabością.

„Sen drugi” (IV) wprowadza ultrarealistyczne, choć mono stylizowane postacie rzeźnika i fryzjera, które nadają referentowi mieszczańską nutę morału. Zarys figury szatana, pozostającego w dość dalekim pokrewieństwie z lucyferyczną personifikacją komicznego zła, staje się silnym ogniwem rozwijającego się dramatu. Zatrująca żywioły atmosfera zła i negacji, której poddaje się szatan, wypędzony z miasta przez srogiego biskupa, podpowiada mu słowa, malujące pocie kuszącą możliwość rezygnacji z trudów wędrówki, zapomnienia i spokoju. (Scena kuszenia na górze).

„Czy znasz ten kraj” – pyta szatan, wskazując na leżące w dole „chude stodoły”, których „zebra wyschnę”, na studnie w których zabraknie wody, na trudną drogę walki i wyrzeczeń. Zapowiada mór i przybycie ludzi w „złych hełmach”. A tu-tu „fontanny i zamki na lodzie, kwatów zagon, owoce kuliste”... Zapomnij o tamtym kraju smutny chłopakczku, zamki na lodzie są tak kolorowe...

Ale kuszenie to brzmi jakoś nieprzekonywująco, szatan powtarza swoje konwencjonalne „zawodowe” pokusy, pod którymi czai się niedwuznacznie tęsknota i miłość do „tego”

kraju. I tu właśnie tkwi jego tragizm jako postaci ludzkiej. Duet złożony z milczącej zadumy poety i monologu szatana, staje się wreszcie niespokojnym szeptem losu, zapowiedzią gigantycznych katastrof.

Następny z kolei „Hymn do światła” (V) nosi w sobie rozwiązanie problemu walki z Bogiem. Przykryty ciemnością miasta, dyszącego w sprężonym oczekiwaniu na rozładowanie kipiących akumulatorów współczesności, wzywa poeta Boga, aby zstąpił tu i przerwał sen, który stracił już w swym opętanym biegu pozory abstrakcji.

Celem tej inwokacji, drgającej nutą pokornej, choć żarliwej prośby o zażegnanie zła jest jednocześnie odsłonięcie swej postawy jak gdyby nieco ascetycznego ukorzenia się („słyszę w krwi mej szyderczą wieczność”).

„Tren na śmierć siostry” (VI), ukrywając się znów w zamkniętym pokoju osobistej tragedii poety wprowadza spotęgowane echo melodii, która przewijała się już jako letimotiv¹⁵ „Snu drugiego”;

„A mówili: przeżyj o kto wierzy, kto nie wierzy nie wypije i nie zje” Zagodne adaigo tych strof; falujące na rytmach żalu, rezygnacji z prób pocieszenia i falistycznych wizji jutra, cichnie pełne goryczy razem z powracającą na chwilę tęskną retoryką pierwszego głównego tematu: „Czy znasz ten kraj....” .

Pieśń VII nosząca tytuł „Zwiastowanie, czyli sen proroczy” przeprowadza włożone w usta postaci matki wyznanie wiary. Poeta słucha. Bolesny, rozstający się do rozmiarów dysproporcjonalnych, zastarzały nowotwór rozczarowań i zawodów czyni go nieufnym i zamkniętym w sobie.

„Kochaj płomień który niweczy

i twą ziemię przepala jak kładkę
 tak się zrodził pochmurny i męski bohater.
 Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu,
 Gdy nad włosom ci leci prosty,
 nie jednego on przecież nauczył miłości.
 I człowieka, w którego godzisz,
 mrużąc oko pod blask broni siny,
 on nauczył boleśnie twą młodość ojczyzny.
 Synu mój, uwierz w sny: po raz wtóry zapieje
 kogut,
 a nad miastem proszącym o światło, koral łuny
 ześle wam Ten,
 który w dłoniach i wodę i ogień
 sprawiedliwie waży na dzień.....
 ale więcej mówić nie mogę.”

Nie wiemy jaka będzie reakcja poety na
 płomień wiary, podawany mu z pełną miłości
 intensywnością.

Nie wiemy czy go zaaprobuje. Możemy tylko
 podejrzewać, że nim „po raz wtóry zapieje kogut”
 poeta uwierzy w sny, chociaż nie wie o nich nic
 prawie...

Poprzez nieco niezrozumiałe wiersze „Pieśni
 wiosennej” (VIII) o prześwietlających się
 motywach i tematach wcześniejszych, następuje
 nawrót wątku (Pieśń XI) i zamknięcie łuku
 muzycznej tęczy pieśnią X. Powraca nam znany już
 nastrój grozy i baśniowości, sugerujący czasem
 czytelnikowi dość zresztą powierzchowne i czysto
 formalne porównanie z szekspirowskim „Snem
 nocy letniej”. Mgławicowy chaos krajobrazu,
 przełamującego się w nienazwanym jeszcze
 wymiarze – to chyba konsekwencja akalpetycznej
 obcości współczesnej rekwizytorni snu.

Znów wysuwa się temat główny, melodia
 refrenu. Solo fortepianowe zanosi się pytaniem,
 w którym zdziwienie miesza się z uczuciem
 przywiązania, a tęsknota, czyżby z nadzieją...?

„Więc się módlmy o słoneczny promyk,
 bo wciąż noce wtulone w ogromne skrzydła,
 odpływają, odpływają od rąk człowieka,
 a za nami – czy znasz?
 Ten kraj.”

 Sugestie o muzycznym rozbudowaniu tematu
 „Widm” nie idą w parze z konstrukcją
 poszczególnych fragmentów i, – analizując coraz
 drobiazgowiej – poszczególnych strof, czy wreszcie
 wyrażeń. Budzące się w oderwanych motywach
 melodyjność i rytmikę zalewa galopująca kaskada
 metafor i trudnych zestawień, nie liczących się
 z rozmiarem wiersza, ani harmonią jego
 kompozycji. Lekceważąc sobie (oczywiście
 świadomie) metody klasycznej formy i robiąc
 ryzykanckie wypadki w kierunku lirycznych
 prozaizmów poeta zachowuje na ogół w dużym
 stopniu dbałość o świeże „nienoszone” i gęsto
 wplatanie rymy. Często są to tylko pewne
 dźwiękowe pokrewieństwa i współbrzmienia
 słów, czasem „przepisowe” asonacje.

Może tylko w moim subiektywnym odczuciu
 nie widzę zbytnej konieczności ich istnienia przy
 jednoczesnych dysproporcjach rozmiarowych
 i arytmii stylu. Rymy przechodzą przecież prawie
 niezauważone i nie widziałbym żadnej różnicy,
 gdyby były na przykład rozrzucone dużo rzadziej
 lub następowały zupełnie przypadkowo.

Metafory przeważnie zręczne, śmiałe, nie
 zużyte, zaskakujące nieoczekiwanymi
 zestawieniami, są bezsprzecznie mocną stroną
 poematu. Fakt, że zdarzają się momenty pewnej
 pretensjonalności, sztucznego patosu czy
 zawilności, nie osłabia już tej pozycji.

Poemat zakreślony szeroko i wielokierunkowo
 przynosi z sobą atmosferę głębokich przeżyć i
 dalekosiężnych zapatrzeń. Mimo raczej intymnego

charakteru rysuje się na płaszczyznach dziejącego się kataklizmu ostro i mocno.

Rezygnując z góry z poklasków tłumów „Widma” są nowością przeznaczoną dla ograniczonego klanu „wtajemniczonych”, dla umysłów czułych i selekcyjnych.

Wśród tak często spotykanej łatwizny i prymitywnej afirmacji dostępnej nam obecnie twórczości lirycznej stanowią jedyną w swoim rodzaju, na wskroś oryginalną pozycję.

O części drugiej, zawierającej drobne wiersze – innym razem.

Andrzej Augustowski [Kazimierz Winkler]

Rytmiczna droga uczy.

Karol Topornicki „Widma”. Poemat. Z Biblioteki „Sztuki i Narodu”, Warszawa 1945. (Tom zawiera oprócz poematu ponadto sześć wierszy.)

Żeby zrozumieć I s t n i e n i e pomocna bywa czasem pewna skromna kropla tego, co niektórzy nazywają mistycyzmem. O ile w dobrze uporządkowanym systemie filozoficznym, gdy mamy ustalone odpowiednie rozgraniczenia i korelacje pomiędzy światem zjawisk fizycznych i pozafizycznych, realnych i nierealnych mistycyzm jest rzeczą zawodną i raczej zdyskredytowaną – o tyle w sztuce, w ręku artysty, który zarazem nic nie bierze na serio, i wszystko bierze na serio, mówiąc innymi słowami inaczej bierze na serio świat niż filozof lub moralista – mistycyzm nieraz bywał sznurową drabinką, po której można się wspiąć na piętra, ku którym inną drogą wiodą marmurowe schody filozofii i kute w żelazie poręcze moralistyki.

Takie wejście do sali zrozumienia przez boczne drzwi poezji, po sznurowanej drabince

mistycyzmu jest rzeczą pełną uroków i niebezpieczeństw. Uroków – bo nieraz można tam trafić prędzej niż główny orszak. Niebezpieczeństw – bo łatwo można się zawieść i trafić do innych sal – sal pomyłki, nonsensu, goryczy. Dlatego rzadko kiedy bywa niezawodna droga poety, który od poezji żąda więcej niż ornamentu, ozdoby, afirmacji, obrazu – który chce od niej o d k r y c i a , kreowania w sensie również metafizycznym. Przy wszelkiej bowiem mistyce istnieje tam wielkie niebezpieczeństwo zatracenie właściwej p r o p o r c j i pomiędzy wartościami metafizycznymi, należytej hierarchii takich choćby elementów jak dobro i zło, Bóg i szatan, że nawet w chrześcijańskiej poezji mało jest utworów jak Boska Komedia, które by jednoczyły w sobie całkowitą integralność poetycką i, użyjmy tego terminu „autentyzm” mistyczny z równowagą niezachwianej wiary.

Mimo tych niebezpieczeństw, mimo tego że nie jeden inkwizytor dopatrzyłby się niejednej z pomyłek w wielu konstrukcjach takich nawet poetów jak Milton, Blake, Słowacki, Goethe – pęd do tworzenia poematów mistycznych jest u poetów prawie nie do usunięcia. Krytyk, o ile dobrze życzy duszy autora może co najwyżej jak widz z brzegu z niepokojem patrzeć na borykanie się pływaka z falą, który spoza żywiołu nie widzi ani nie słyszy krytyka. Może sobie widz medytować i dodawać otuchy, że nie zawsze pływanie takie kończy się klęską. Że wprawdzie nieraz ktoś, kto czyhał, lub tropił Boga zbyt niecierpliwie, lub będąc pozbawiony promyka łaski, mógł tylko jego imitację ułoić, spotykać larwy samozwańcze, ale za to kiedy indziej ktoś właśnie obserwując te larwy niższe wpadał jak św. Krzysztof na ślad Wyższej od nich i od siebie Istoty. Podjąłbym się np. przeprowadzić może trochę naciągany w szczegółach, jednak w konkluzjach słuszny wywód,

o nieuniknionej drodze do Boga poety tak programowo satanicznego jak Józef Czechowicz. Poeta stawia na kartę równowagę umysłu i spokój duszy, niemniej gdy zanurzył się w ten żywioł, my go zeń wydobyć nie umiemy. Możemy jedynie śledzić jego ruchy i rokować takie lub inne koleje.

Topornicki w poemacie „Widma” szuka siły panującej nad losem. Artysta konkretyzuje. Więc nad losem konkretnym... nad losem konkretnego kraju, konkretnego horyzontu, ludzi przez siebie widzianych, bliskich, uchwytnych, trywialnych, tak trywialnych jak dobrze pojęta groteska artystyczna być może.

1. „... Na rogatek – tam fryzjer i rzeźnik
mówili o czasach zjawiających
się we śnie:
złe były – a przeżyje kto uwierzy,
kto nie wierzy – nie wypije i nie zje...”
.....
2. „...Wiele prawdy znał fryzjer i rzeźnik...”
.....
3. „A mówili: przeżyje, kto wierzy
Kto nie wierzy, nie wypije i nie zje.
Śpią zuchwali na szczątkach oręża,
między nimi i fryzjer i rzeźnik.
Niechaj martwi ufają żywym:
Kto nie wierzy – wszak także utonie.
Ojca twego powiozą na Sybir,
matkę zgwałci – siostrzyczko – zły żołnierz...”
.....
4. „...Synu mój – uwierz w sny – wielką prawdę
znał fryzjer i rzeźnik:
Ten przeżyje na ziemi – kto wierzy,
i kto dłoniom swoim zaufa,
kto nie wierzy – nie wypije i nie zje,
a zapłaci mu pustka i cisza.
Kochaj płomień, który niweczy
I twą ziemię przepala jak kładkę.

Tak się zrodził pochmurny i męski bohater.

Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu,

gdy nad włosem ci leci prosty;

niejednego on przecież nauczył miłości.

I człowieka którego godzisz

mrużąc oko pod blask broni siny,

on nauczył boleśnie twą młodość ojczyzny...”

.....

Oto dla przykładu wybrane cztery fazy rozwojowe, perypetie jednego wątku w poemacie, raczej refrenu niż wątku. Topornicki chętnie posługuje się refrenem i dobrze nim włada, może lepiej niż kompozycją całości. Dlatego może w tym refrenie klarowniej rysują się perypetie spotkania z losem niż w głównym wątku. W głównym wątku rzecz kończy się westchnieniem:

...„módlmy się o słoneczny promyk”...

podczas gdy:

...„Bledną źrenice ludzi pod

cięciem puchowej lotki –

nie gałązka oliwna z nieba świętego mrozem,

lecz podłużny opada jak kropla

spod paznokcia szatana – nietoperz...”

Spotkanie z losem kończy się znakiem zapytania. Inaczej jest z refrenem przytoczonym poprzednio.

Mamy tam najprzód (1) groteskową ekspozycję wiary w panowanie nad losem. Następnie (2) afirmację, ugruntowanie tej wiary. Potem obraz trywialnego górowania ciała nad wiarą (3), i wreszcie triumfowania wiary nad losem na płaszczyźnie wyższej, heroicznej.

Widocznie jednak autorowi nie wystarcza, nie zadowala go takie proste rozwiązanie sprawy, skoro dopracował się jej w formie nie wpisał do wątku głównego. Gdyby wystarczało... wówczas w ostatecznym rozrachunku spadałby na kraj nie

poseł szatana, lecz anioł próby.

Nie wiemy dokąd zawiodą dalsze drogi autora, bardzo „autentycznego”, uczciwego poszukiwacza związków między ewenementami ziemskimi a ich racją i celem. Na razie ten poemat musielibyśmy określić jako poemat m a n i c h e i s t y c z n y Pomiedzy niebem a ziemią rozwinęły się ogromne skrzydła nietoperza. Pomiedzy człowiekiem a wiecznością stoi władca losów kraju – szatan. Manicheiści, wielka herezja Kościoła Wschodniego, uznając w Bogu Istotę Najwyższą, widzieli jednak w szatanie siłę sprawczą i głównego kierownika ziemi. O ile nasze czasy zbliżają się do pierwszych wieków Chrześcijaństwa, o tyle mogą się w umysłach lędz podobne koncepcje jak wówczas na tle pokrewnej rzeczywistości empirycznej. Religia otwierała perspektywę na wyższe instancje, ale ludzie widzieli siłę ziemską zła, a z kultu Arymana zawleczony s z a c u n e k dla siły złej pozwalał z niej czynić n a m i e s t n i k a losów ludzkich. Dotychczas w prawosławiu nieraz znajduje się pewne predyspozycje ku takiej kosmogonii, predyspozycje w zasadzie orientalne. Są one również podszewką marksizmu, podczas gdy klasyczny materializm kapitalistyczny raczej całkowicie stawia na człowieka.

Katolicka p o g a r d a dla zła, na zachodzie zmiażdżyła gwałtowną stopą doczesnej organizacji kościelnej utajone pod ziemią piekielne moce. I bliższa zachodowi bywała kosmogonia w której szatan nie tylko jest nikczemniejszy i słabszy od Boga, lecz również od człowieka. I raczej człowiecza pycha niż pogodzenie się z nadrzędnością. [fragment nieczytelny] zachodnich herezjarchów. Ogniska kultu szatana na zachodzie, raczej oczekiwali na jego p r z e l o t n e triumfy niż trwałe panowanie i na oczekiwaniu tych chwil przelotnych skupiały swe msze. Na tle więc zachodniej kultury mit o trwałym

panowaniu szatana nie powinien się rozwinąć. Jeśli zaś Widma doprowadzą do podobnej koncepcji, nie będzie to świadczyło, o przewadze pierwiastków zachodnich w tym poemacie. Dlatego mamy nadzieje, że i czytelnik i autor z tych manicheizmów i arymanizmów w końcu się otrząsnie. Jak? Trudno wskazać. Wskazanie palcem byłoby niezupełnie pewnym środkiem, bo i czytelnik i poeta mógł mieć wadę przekory i nasze zabiegi mogą wydać niezamierzony skutek. Ale zdaje się żeśmy go podstępem doprowadzili do szpar w płocie, przez które można inny świat obejrzeć...

Natomiast chcielibyśmy wskazać na inne groźniejsze niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo już o charakterze zachodnich pierwiastków w konstrukcji poematu. W kosmogonii zachodniej szatan jest pokonany bezwzględnie. Dlatego jest smutny. Cudzy smutek rodzi naszą litość. Pewien litościwy smutek do szatana – zjawisko to nie jest obce nikomu z nas, jestem pewien, że każdy niemal czytelnik tych słów może się na nim przyłapać. Pokonany, słaby, groteskowy, w z g a r d z o n y i budzący litość szatan. Tutaj bardzo łatwo się potknąć. Obawiam się, że na tym wyboju jeszcze nie raz się poślizgniemy i trzeba bardzo dużo ostrożności w a r y t m e t y c e moralnej i... metafizycznej by uporać się z właściwym odmierzaniem miar dla dobra i zła, zgadywaniem które pociski godzą w nas z rąk diabelskich a które z archanielskich.

A obok litości komplikuje sprawę ocena e s t e t y c z n a Diabeł jest słaby, ma naturę ułomną, więc musi u w o d z i ć . Musi przynieść p r z y j e m n o ś c i o w e skojarzenia, często- wać nas jakimś uwodzającym pięknem. Tego problemu i jego konsekwencji autor nam nie rozwiązał. I dlatego nad poematem zawiesił znak zapytania.

Bronisław Łucki [Jerzy Zagórski]

JESZCZE PISMO

„Podejmujemy hasło kultury narodowej jako sprawę już bezsporną i dokonywującą się na naszych oczach. Pismo nasze ma być jednym ze świadectw, że kultura narodu polskiego jest, żyje i rozwija się w najcięższych dla niej warunkach. I że coraz pilniejszym, coraz bardziej jednolitym jest nurt polskiej myśli płynącej ku przyszłości.”

Tymi słowami zamyka swój artykuł wstępny w numerze 1-szym (marzec-kwiecień 1943) nowe pismo „poświęcone kulturze polskiej” – NURT.

Podane wyżej usprawiedliwienie narodzin nowej placówki kulturalnej jest wprawdzie słuszne („pismo ma być jednym ze świadectw, że kultura polska jest”), lecz wydaje mi się niepełne. To za mało – tylko być, aby przekonywać.

W obecnej fazie kultury polskiej obowiązuje wyższy stopień wiedzy o sobie. Obawa moja, że NURT nie reprezentuje środowiska wnoszącego nowego spojrzenia na przyszłą rzeczywistość kulturalną, potwierdziła się niestety, po przeczytaniu dalszych artykułów. (Pod tym względem wyżej stoi „Kultura jutra”. Pismo to nie poprzestaje na przegryzaniu zagadnień związanych z kulturą dwudziestolecia, lecz szkicuje zarysy form kultury stającej się, usiłuje przewidywać, a opierając się na doświadczeniu okresu przedwojennego i patronacie Brzozowskiego, Norwida i Hoene-Wrońskiego – robi to na ogół szczęśliwie.) Ten jest mankament zasadniczy. Poza tym artykuły ciekawe, niektóre bardzo ładne. Do tych należy „Wola kultury” o dobrze rozprawionym problemie. Wiersza Cypriana Norwida „Pieśń o ziemi naszej” omawiać nie będę. Zaszczytą jest dla pisma ta współpraca wielkiego poety, szkoda jednak, że nie dano nam twórczości zrodzonej z dnia dzisiejszego.

Nie rozumiem, dlaczego opowiadanie „Warszawa w rok 1943” znalazło się na łamach pisma „poświęconego kulturze”. Ostatecznie, pod tytułem tego artykułu da się wiele powiedzieć i o kulturze, lecz dlaczego o „szmuglerach” i słońnie?

Autor artykułu „Sentymentalizm, kultura i chłopi” ustala stosunek kultury polskiej do warstwy chłopskiej i decyduje, że wsparty na podglebiu cłkiwego sentymentalizmu stosunek ten był niesprawiedliwy: „Żaden ze współczesnych pisarzy nie zdobył na ten wysiłek artystyczny, aby pokazać wsi chłopa przechodzącego przez układ wiejskich stosunków. Literatura ostatniego 20-lecia poszła prostą i łatwą drogą informowania miasta o wsi i na odwrót”.

Jest w tym doza słuszności, mniej trochę w zdaniu:

„Tymczasem trzeba pamiętać, że warstwa chłopska duchowo już dojrzała do wchłonięcia i przetrawienia najznakomitszych potraw polskiej literatury i teatru”. Tak? To chyba przez czas wojenny, z racji wzmożonego apetytu. Sąd ten jest stanowczo zbyt optymistyczny, powiedziałbym – powstał na podłożu... sentymentalnym. Dział „Lixta” jest kolumną informacyjną, redagowaną ze szczyptą soli i ironii.

Numer drugi – (maj 1943) – wykazuje wielki postęp. Otwiera go artykuł ilustrujący na warunki życia Lwowa kulturalnego. Jest to do pewnego stopnia powtórzenie znanych powszechnie wiadomości, niemniej w sposób frapujący. Doskonały jest wręcz esej „Powrót bogów” – o wygłosie twórczego optymizmu. Postawa artykułu toleruje symboliczną postać majora Pycia¹⁶ choćby tylko dlatego, że „major Pyć trwa”. Tu zdanie: „Jeśliby kataklizm, jaki przeżywały, miał tylko ten skutek, że napoiwszy nas goryczą rozczarowania do wegetatywnej

samowystarczalności Pycia skierowałby nas z powrotem na drogę prawdy, to kto wie, czy cena tego byłaby za wysoka”.

Od analizy wiersza Józefa Czechowicza pt. „Co spływa ku nam” wstrzymam się znowu. Przypominam jedynie uwagę wypowiedzianą z okazji wiersza Norwida. Spostrzeżenia artykułu „Kultura jako kwit polityczny” trafne, razi tylko zapowiedź, jako zbyt frazeologiczna, że: „Polska kultura po tej wojnie będzie przede wszystkim zdana na samą siebie”. Na czym ma polegać owo samotnictwo kulturalne? Przydałby się szkic tego projektu. Mści się brak konkretności, o którym wspominałem na wstępie. Zamyka część publicystyczną niemal manifest pt. „Koniec śmieszków”. Wracając do dwudziestolecia określa on jego atmosferę kulturalną, atmosferę dowcipu i humoru. „Jeśli nie śmiano się jeszcze z pogrzebów, to tylko dlatego, że nikt nie wpadł na ten pomysł...” – powiada nielubiący śmiechu autor!

Wychodząc z założenia, że śmiech użyty jako narzędzie deprawujące, godzi w jednolitość społeczną – kończy autor artykułu: „Nie chcemy zabijać wesela ni radości, które tak niewiele mają wspólnego z kosym spojrzeniem zgryźliwego szyderstwa, ale błazenków i figlarzy, „humorem” wykręcających się od prawdy życia, od odpowiedzialności, od „prostoty ducha”, pošlemy na hak”.

Wypowiedź ta zdradza szlachetną egzaltację, podniosłe nieopanowanie ale i... niekonsekwencję. Najwięcej winna tu nadwrażliwość twórcy „manifestu”, jego subiektywne odczucie postawy ironicznej, która królowała w dwudziestolecu. Otóż – stosunek do świata człowieka cywilizowanego w tym czasie opierał się na widzeniu urojonym. Nie było rzeczy wielkich, świętych, ponieważ deformacja świata zaskakiwała tempem, niespodziankami zdobyczy

techniki i wiedzy; deformacja dla wielu przechodziła w groteskę, w „zabawę w życie”. Po wojnie światowej i ona przecież, to najstraszliwsze zjawisko w dziejach, stała się wylegarnią „dziwności”, bazą śmieszków. Należy sięgnąć głębiej. Postawa ironiczna to postawa człowieka XX wieku, nie tylko Polaka. Zatem – źródło jest jedno. Może właśnie wyprzedzający wyobrażenie, postępek i cała gorycz z niego płynąca.

W wywodach artykułu jest dostrzeżone niebezpieczeństwo, lecz przesadzona jego waga. Efekty takie jak śmiech nużą szybko, chorobliwa wg. autora artykułu – postawa, wyeliminowałaby się sama, zdaje się już jej nie ma.

Kto wie, czy zasób cynizmu zabrany np. zebrany z dwudziestolecia nie przyda się do przyszłej katharsis. A ze śmiechem ostrożnie – często zdradza najwyższy smutek.

Jak u Huxley’a. Tendencja autora jest niezdrowa. I ohyda też. W kulturze walczy się wierszem. Jeśli nie podoba się drwina – trzeba ją pokonać – często również drwiną – lecz nigdy – [fragment nieczytelny]. Umyślnie jestem gruboskórny i nie chce dostrzec metafory. [fragment nieczytelny]

Kilka ciekawostek z kolumny „Spojrzenie” zamyka numer.

K. Topornicki [Tadeusz Gajcy]

[TYTUŁ NIECZYTELNY]

„Jutro poezji” Warszawa 11.5.43. Nr. 1. str. 11.
Technika oryginalna – światłodruk (fotokopia maszynopisu formatu A4.)

Motto: „W sztuce więcej jest wart atom zapłać niż góra doświadczenia”.

Następuje 5 punktów wytycznych.

1. Zerwanie z efekciarstwem i błyskotliwością.

2. Bezwzględna zrozumiałość i szlachetna prostota formy słownej.

3. Oparcie twórczości na przeżyciu.

4. Szczerość i prawda ukrytego wyrazu artystycznego.

5. Przepojenie twórczości sprawami ducha ludzkiego, zagadnieniami wszechludzkimi i kwestiami życia współczesnego.

Po tym „credo” buńczuczna zapowiedź „Dość mamy marazmu umysłowego i kulturalnego przedwojennej Polski; niech nowa twórczość przetnie błyskawicą zatęchłe powietrze skamieniałych umysłów”.

Artykuł Olgerda [nazwisko nieczytelne] „Sztuka i jej cele” jest niedokończony i dlatego nie może być omawiany. Natomiast umieszczona zamiast felietonu historia powstania pisma pt. „Jak to było” przypomina (jak cały numer) artykułiki zamieszczone przed wojną w gazetkach dla młodszych klas, a traktowany jako środek służący do wyładowania energii niepotrzebnie skierowującej się w innych kierunkach. (Bynajmniej nie chcę sugerować, że wydawcom „Jutra poezji” przyświecają te same cele mimo pokrewieństwa formalnego.) Oto parę zdań – wystarczających do poparcia powyższych sądów. „...gdzie nie gdzie widnieją strasznie mądre artykuły i rozprawy, których zresztą nikt mądry naprawdę nie będzie usiłował zgłębiać (mógłby łącno bowiem sam zgłębiać)” – jest to (trafna może) charakterystyka własnego pisma. Dalej: „Czy zyskamy jakieś rezultaty w ostatecznym wyniku naszej pracy? – my sami na pewno – a inni? – ha! O tym się dowiemy.” Nawiasem wspomnieć można o zapowiedzi: „Drogę do tego jutra zbudować pragnieniemy z twórczej myśli wszystkich narodów i epok”.

Po artykułach następują wiersze – redakcja zaznacza że z powodów od niej niezależnych, prozy

artystycznej brak – a szkoda bo wiersze znowu nasuwają porównanie do szkolnej przedwojennej gazetki z żeńskiej szkoły prywatnej, gdzie panienki zamknięte w internacie z trudem układają rymy takie żeby ostatecznie po dodaniu do słów rymowanych jakiś ograniczonych ilości, zgłosek zdań – powstała całość.

Owo plastycznie nazywane „watowanie” cechuje wszystkie umieszczone wiersze. Np. z wiersza Hanny Miłoszówny „Świt”: „Na półbłękicie, półblasku przeźroczy, żar świeci na kształt złocistych warkoczy” i in. Rymy w rodzaju: wieki – leki albo męskie: dźwięk– pęk, moc-noc. Z wiersza H. Miłoszówny pt. „Seledynowa noc” warto przytoczyć zdanie: „Drząc utopione w seledynie, domy skuliły się i śpią.” – w innym jest mowa o wietrze który kroczy, przeciera powieki itp. Z wiersza Rawicza „Nam trzeba umieć” charakterystyczny zwrot: „Bo nam nie wolno w lęku zgorzeć gdy jękną drzwi pod ciosem buta, A nam bez drżenia drzwi otworzyć i rzec z pogardą: tak, to tutaj!”.

Czerpanie pełnymi garściami ze skarbicy dorobku Tuwima, Wierzyńskiego, Konopnickiej (i innych) cechuje niemal wszystkie wiersze. Jako dobre słowa tanga czy foxtrota wyróżniają się „Przyjdź w taki dzień” i „Między nami” Iwony Murskiej. („Między nami jest cel i obłudnych słów ból, niepotrzebnych nikomu, nikomu. Między nami jest dal zagubionych gdzieś pół...” itp.).

Zapewne realizując konsekwentnie ów ostatni (5) punkt programu pisma F. Czerw wiersz pt. „Pociąg” opiewający początkowo w dudnienie kół i krajobraz (półtorej strony 16-to zgłoskowca!!) kończy tak:

„Jak i pociąg tak i człowiek,
Nieuchwytnie pragnie goniąc
.....

Czy i po tym, czy i po tym, czy i o tym to szukanie?

Gdzie jest Dobro? Gdzie jest Prawda? Gdzie jest
Szczęście? Gdzie jest Bóg?!"

Zauważmy – nie tylko całość ale i końcowa
„metafizyka” stuka rytmem pociągu!

Nadesłane do redakcji:

„Słowa prawdziwe”, wyd. II
„Kultura jutra”
„Poezja jutra”
„Werble wolności”, tom III
„Honor i ojczyzna” (Wydawnictwo
Departamentu Informacji, stron 155).

Ofiary:

Kwitujemy odbiór:
zł 15. – Rak, zł 135. – X, zł 5 – Ola, zł 50 – St. Cz.,
zł 70 – K.P
Na stypendium Stanisława Łomienia¹⁷ przez
KOP: dwa razy 300 zł.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

¹ Chodzi o Wacława Bojarskiego.

² Onufry Bronisław Kopczyński

³ Ponownie określenie Onufrego Bronisława Kopczyńskiego.

⁴ Zbigniew Łoskot

⁵ Halina Bojarska, z domu Marczak, z którą Bojarski wziął ślub na łożu śmierci.

⁶ (z ros.) drogi

⁷ Tadeusz Gajcy

⁸ Andrzej Trzebiński

⁹ Kazimierz Winkler

¹⁰ Stanisław Marczak

¹¹ Stanisław Ziembicki

¹² Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

¹³ Faktycznym autorem był Tadeusz Borowski .

¹⁴ Tadeusz Gajcy

¹⁵ Motyw przewodni.

¹⁶ Postać z powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Generał Barcz”, wzorowana na postaci pułkownika Adama Koca – wojskowego, polityka, współpracownika Józefa Piłsudskiego, jednego z autorów zamachu majowego.

¹⁷ Andrzeja Trzebińskiego